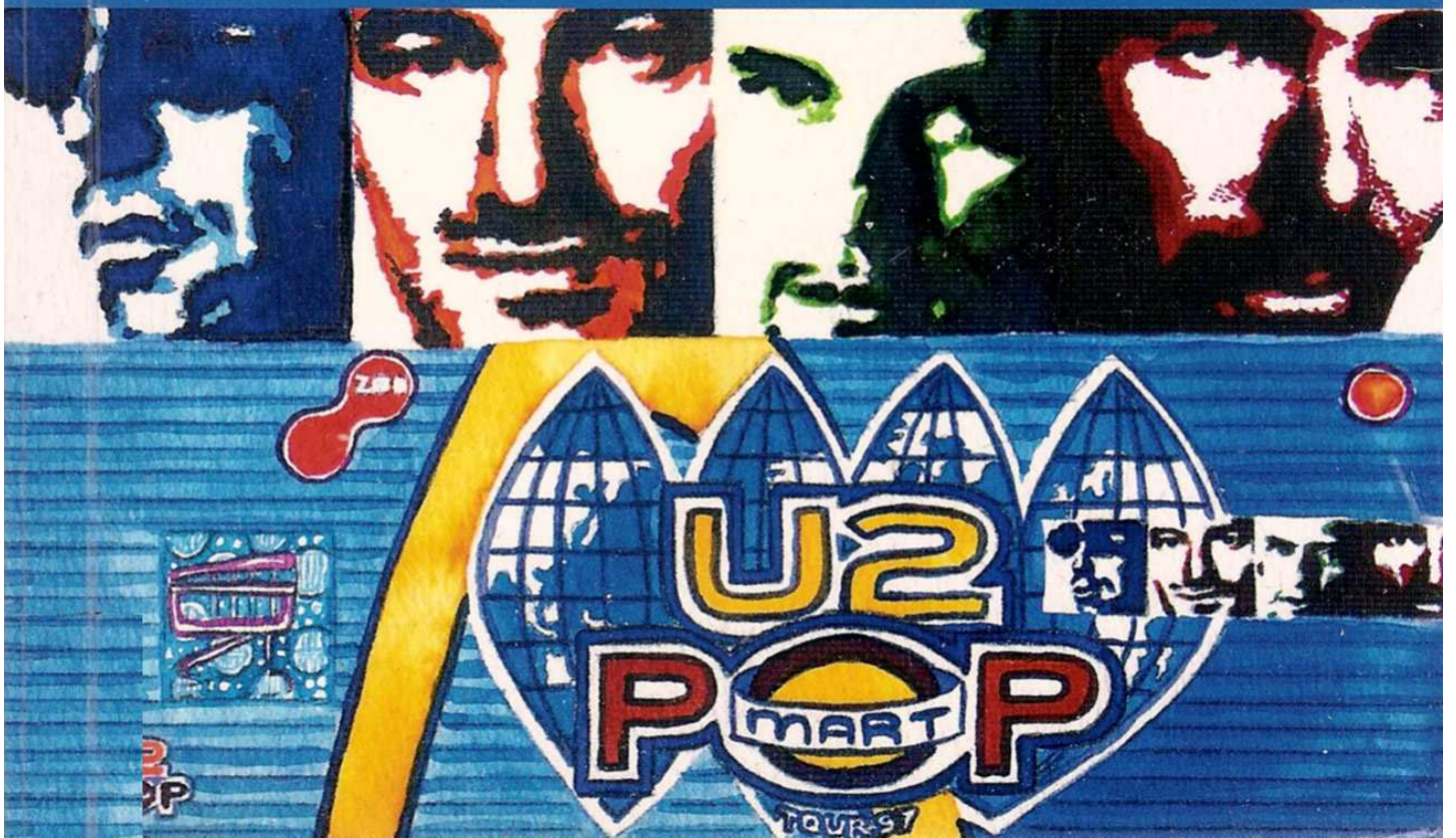




Muharem Bazdulj
KONCERT



Muharem Bazdulj
KONCERT

Przełożyła Dorota Jovanka Ćirić



wydawnictwo  zarne

Wołowiec 2007

Różnie o tym koncercie myślano. Ludzie byli podzieleni. Niektórzy nie tracili pewności, że się odbędzie, choć nie znali dokładnej daty. Inni z powątpiewaniem kręcili głowami. Argumenty tych pierwszych były idealistyczne. Powoływali się na obietnice Bono, na fakt, że świętował Nowy Rok w Sarajewie, na jego przyjaźń z Ambasadorem, na probośniackie zaangażowanie podczas tournée ZOO TV, na koncert War Child w Modenie, na piosenkę *Miss Sarajevo* i powszechnie znany humanizm U2. Drudzy, przeciwnie, twierdzili cynicznie, że pieniądz rządzi wszystkim, zatem koncert jest nierealny, bo nie da się na nim zarobić. (Później, gdy wiadomo już było, że koncert się odbędzie, będą z kolei mówić, że powód okazał się czysto komercyjny – reklama. Ludzie tego pokroju są nieuleczalni). Na poparcie swojego sceptycyzmu mieli na pozór przekonujące dowody: fakt, że Sarajevo nie znalazło się w pierwotnym spisie wszystkich koncertów podczas tournée organizowanego przez POPMART oraz oczywistą niemożność zorganizowania przez tak biedny kraj po kilku latach wyniszczającej wojny koncertu, który byłby jednym z punktów na trasie

największego, najbardziej skomplikowanego i najdroższego rockowego tournée w historii tego globu.

Aż wreszcie któregoś dnia wiadomość została oficjalnie potwierdzona. Tak, koncert się odbędzie! Wyznaczono już nawet datę: pierwszy dzień jesieni, dwudziestego trzeciego września. Trzy dni po Włoszech, trzy dni przed Grecją – Bośnia. Urzędy pocztowe w całym kraju oblepiono plakatami, bo bilety rozprowadzały kasy PTT. Pojawiły się też oczywiście samochody z plakatami przyklejonymi na maskach, sprzedawano z nich bilety jak kupony loterii państwowej. Cena biletu wynosiła dwadzieścia marek. To dwa razy mniej niż kosztował wstęp na kolejny najtańszy koncert podczas całego tournée. Ostatni raz za tak niewiele można było posłuchać na żywo U2 w 1983 roku.

Plakat był niebieski. U góry widniała nazwa zespołu napisana żółtymi literami. Niżej, trochę mniejszą czcionką, wybito słowo POP. Dwa „P” były czerwone, „O” żółte, w kształcie kuli ziemskiej pokrytej siecią południków i równoleżników, a na grubym białym równiku opierał się napis MART. Poniżej jeszcze mniejszymi białymi literami dodano TOUR'97. W środku – cztery zdjęcia z ostatniego albumu: Adam, Bono, Larry, Edge. W dolnej części plakatu wielkie białe litery zachęcały: Sarajewo 23 września 1997 – stadion Koševo. Na samym dole umieszczono już tylko informację o sprzedaży biletów (także na stronie internetowej ticketproplus) i o tym, że bramki stadionu zostaną otwarte o trzeciej po południu.

Bilet na koncert zaprojektowano podobnie. Dodano tylko wspaniałą żółtą cebulę i mapę świata zbliżoną kształtem do kwiatu, która przypominała niegdysiejszą szpicę dziennika Telewizji Belgrad. Linia dzieląca kupon i resztę

biletu przechodziła przez środek kwadratu, na którym widniał stylizowany rysunek wózka z supermarketu. Przygotowano dwa rodzaje biletów – w zależności od tego, czy gość chciał miejsce na płycie stadionu, czy na trybunach. Na odwrocie znajdował się rysunek przedstawiający stadion oraz ostrzeżenie, że nie wolno wносить „broni, opakowań szklanych, parasoli, kijów oraz innych niebezpiecznych przedmiotów, a także sprzętu profesjonalnego (foto, wideo, audio)”, i sugestia, że na murawę wchodzi się tylko w obuwii sportowym.

Nowa płyta *Pop*, z okazji której zorganizowano tournée, to najdłużej oczekiwany album U2. Bo też minęły już cztery lata od *Zooropy*. Przed ukazaniem się longpleja fani byli przestraszeni zapowiadany zwrotem grupy w stronę techno, ale na szczęście obawy okazały się nieuzasadnione.

Pod koniec maja, kiedy skończyły się wykłady, Marko ustalił z gospodynią, że za czerwiec, lipiec i sierpień zapłaci połowę czynszu. Był zadowolony z wynajmu i planował przedłużyć umowę na kolejny rok akademicki. Jednakże czasu wolnego od zajęć nie zamierzał spędzić w Sarajewie. Na egzaminy będzie dojeżdżał autobusem. Mimo to za wrzesień postanowił zapłacić pełną cenę. Już wtedy wiedział, że dwie wrzesniowe noce spędzi właśnie tu i nigdzie indziej: tę przed oraz tę po koncercie.

Ojcu nie podobał się ów dziwaczny nawyk Marka, by na egzaminy dojeżdżać autobusem. Ale też nie podobało mu się to, że Marko przyjeżdżał do domu w każdy weekend. Mawiał, że on sam, gdy studiował, zjawiał się w domu góra raz na dwa miesiące i wciąż nie może odżałować, że po ukończeniu studiów w ogóle wrócił do Travnika. A wrócił tylko dlatego, że w Sarajewie przez ponad rok nie mógł znaleźć pracy. Kiedy jednak pogodził się już z upodobaniami syna (bo też co oszczędność, to oszczędność), nie mógł pojąć, czemu za wrzesień gotów jest zapłacić pełną cenę, zwłaszcza że w czerwcu zamknął przecież rok akademicki

na czysto. Marko odparł, że na koncert zamierza pojechać dzień wcześniej, bo nie chce, by przeszkodził mu jakiś przypadkowy korek, awaria autobusu czy coś w tym rodzaju. Tyle że te argumenty były niemal takie same jak argumenty ojca, który zarzucał Markowi, że wychodzi na egzaminy za pięć dwunasta. Czyżby koncert był dla ciebie ważniejszy niż egzaminy? – spytał przerażony. Marko spojrzał na niego, nie wierząc, by komukolwiek, a dokładniej mówiąc, jego ojcu, mogło przyjść do głowy, że da się porównać egzaminy, ów paradygmat trywialności w najczystszej postaci, z koncertem, i to jakim koncertem!

Zatem dwudziestego trzeciego września rano Marko obudził się w swoim małym studenckim mieszkanku na parterze jednego z domów na Mejtašu. To już sto trzynasta noc, którą tu przespał. Doskonale o tym wiedział, bo prowadził osobliwą ewidencję. Każdej nocy nim zgasił światło na ramie okna, tuż nad krawędzią poduszki, Marko robił kreskę. Cztery krótkie pionowe przekreślał jedną dłuższą horyzontalną: to był moduł czasu składający się z pięciu nocy. Poprzedniego wieczora Marko postawił trzecią kreskę w kolejnej serii i doliczył się dwudziestu dwóch „piątek”. Zaczął liczyć przypadkiem. Zmuszony przetrwać straszliwe nudy swojej pierwszej nocy w Sarajewie, Marko pomyślał o więzieniu, uznał pewnie, że skazano go na czteroletnią odsiadkę, i ożywiony tym skojarzeniem wyrył kreskę, jakby to był znak pierwszego z przekiblowanych dni. Później wszystko potoczyło się już siłą inercji, choć nuda stała się mniej dotkliwa. A jednak wracając o świcie po kolejnym upojnym pijaństwie, Marko nie zapominał postawić kreski. Tak jak w żaden piątek nie zapominał pójść na dworzec autobusowy.

Z początku ojciec myślał, że Marka przyciąga do domu dziewczyna. Ledwo zaczął studiować, a już na tapecie była niejaka Irina, świeżo upieczona maturzystka. Tyle że nawet gdy ten związek należał już do przeszłości, częstotliwość przyjazdów Marka do domu nie osłabła. Wkrótce po Irinie nastąpiła Adisa, potem ta smaczna filigranowa sąsiadeczka i w końcu Dženita, pielęgniarka dobiegająca trzydziestki, ale wtedy ojciec zaczął już rozumieć, że Marko nie przyjeżdża z ich powodu. A w Sarajewie to są jakieś dziewczyny? – zagadnął go kiedyś, jednak Marko burknął coś tylko pogardliwie. Jest branie, ale bez zobowiązań – dodał po krótkiej chwili.

Bo też Marko przyjeżdżał do domu właśnie, i tylko dla domu. Tyle i nic ponadto. A tak naprawdę – chodziło o strych. Otóż, gdzieś tak tuż przed wojną (Marko był wtedy w siódmej, może ósmej klasie) ojciec z niepozornego dotąd strychu wyczarował pokój dla Marka. W dachu wybito okna, położono lamperie, wniesiono łóżko, stół, cztery słomiane krzesła, stary telewizor i wszystkie jego rzeczy. Akt przeprowadzki na poddasze Marko uznał za swoją inicjację, za nigdy niekwestionowane potwierdzenie własnej dojrzałości. Nic – ani papieros czy pijaństwo, ani matura, pierwszy seks, ani przyjęcie na uczelnię – nic nie mogło się z tym równać.

Na tym właśnie poddaszu Marko przeczytał pierwszą książkę z „wielkiej księżnicy” ojca. Przez siedem lat był członkiem dziecięcej sekcji biblioteki, z której wypożyczył chyba wszystkie książki. Przeprowadzka na strych dodała mu odwagi, by zapisać się do prawdziwej biblioteki, tym samym został jej najmłodszym członkiem. To właśnie na tym poddaszu Marko mógł wreszcie po raz pierwszy słuchać

trochę głośniejszej muzyki. W ciągu kilku miesięcy przekonał rodziców, by przenieśli na strych odtwarzacz wideo, z którego praktycznie już nie korzystali. Tak oto czternastoletni Marko w przededniu wojny rozpoczął podróż wokół swego pokoju¹. I jeszcze jedno: pierwsza rzecz, jaką przykleił na ścianie poddasza (wisi tam nadal, choć minęło siedem lat), to wielki plakat U2: *Rattle and Hum*.

Pierwszym utworem z repertuaru U2, który Marko usłyszał w radiu, był chyba *With or Without You*, w kulminacyjnym momencie triumfalnego pochodu piosenki przez światowe listy przebojów. Marko miał wtedy dziesięć lat i było cool interesować się muzyką zagraniczną. Najczęściej spotykane graffiti na białych murach nowo zbudowanych domów w Travniku wysyłały tylko jeden sygnał: „U2. The Joshua Tree” – to była pierwsza płyta, którą Marko nabył (ma ją do dziś). Tak się wszystko zaczęło.

W następnym roku kupił *Rattle and Hum*, nie tylko płytę, lecz także koszulkę, wielki plakat i kasetę wideo (ale w domu nie miał jeszcze wówczas odtwarzacza). Później w odruchu retroaktywnym, a więc z pomocą pośredników, nabędzie wszystkie wcześniejsze albumy – kasety *Boy* i *War*, resztę na płytach. Od tego momentu U2 stało się jego *differentia specifica* w życiu szkolnym. (Był wprawdzie jeszcze jeden Marko w ich roczniku i zazwyczaj często ich mylono, ale teraz do imienia Marka dodawano z reguły: Ten, co słucha U2). Pierwszy album, który kupił, będąc już mieszkańcem poddasza, to *Achtung Baby*. Zaraz potem wybuchła wojna.

¹ Aluzja do *Podróży wokół mego pokoju* Xaviera de Maistre. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Na samym jej początku Marko wygrał pierwszą bitwę o poddasze. Rodzice chcieli zabronić mu przebywania, a już zwłaszcza spania na górze. Chodziły słuchy, że pociski upodobały sobie zwłaszcza górne partie domów. W spazmatycznym napadzie młodzieńczej przekory Marko zagroził ucieczką z domu, samobójstwem, samospaleniem i samookaleczeniem. Rodzice skapitulowali. Na tymże poddaszu Marko (zawsze skłonny do porządkowania wszechrzeczy) przeczytał dokładnie siedemset dziewięćdziesiąt siedem książek, a większość z nich zapewne w trakcie wojny. Obejrzał też z całą pewnością ponad tysiąc filmów (w tym wypadku brak dokładnego wykazu). Gdyby jednak zsumować czas poświęcony na czytanie książek oraz oglądanie filmów, to i tak nie był to, nawet w przybliżeniu, ten ogrom czasu, który poświęcił na słuchanie U2.

Wszystkie swoje miłosne smutki i radości; wszystkie dylematy moralne; ziemię niczyją rozciągającą się między ateistycznym hedonizmem a nieskalaną metafizyką pozainstytucjonalnego Boga; równoczesną tęsknotę za mnogością i jednością; patriotyzm rozumiany jako miłość do stron rodzinnych i własnych wspomnień (miłość do ojczyzny), a nie brutalna i oschła narodowa pompa, „ostatnie schronienie łajdaków”; politykę pojmowaną jako walkę o słabszego; śmierć odartą z misterium i banału; technikę bliską wyobcowaniu; życie jako amalgamat podniosłych myśli i brudnej praktyki – wszystko to Marko znalazł w piosenkach U2. I na tym nie koniec! Także literaturę oraz film odbierał najpierw przez pryzmat U2, odkrywając zarówno całkowicie przypadkowe, jak i nieprzypadkowe związki. Dedykacje towarzyszące piosenkom U2,

na przykład, zainfekowały go Wendersem, i to on stał się jego ulubionym reżyserem. Dedykacje dla Bukowskiego i Delmore'a Schwartza zaprowadziły go do lektury *Z szynką raz!*, a także *Na łóżku nagim, w jaskini Platona*. Wers z piosenki *The Ocean* odkrył dla niego Oskara Wilde'a, a tytuł *A Sort of Homecoming* – Paula Celana. Słowa Yeatsa z wiersza *The Winding Stair*¹, które Borges umieścił jako motto opowiadania *Biografia Tadea Isidora Cruz (1829–1874)*: „I'm looking for the face I had / Before the world was made”, zostały zacytowane w nowej piosence *Mofo*. I właśnie wszystkie te przypadkowe zbieżności sprawiały Markowi największą przyjemność. Borges, dajmy na to, mówi: „La oscuridad es la sangre / de las cosas heridas” (Ciemność to krew zranionych rzeczy)², a Bono powiada: „The night is bleeding like a cut”. Saramago pisze, że wątpliwości mogą posłużyć człowiekowi za światło, które kroczy przed nim, Bono śpiewa: „Uncertainty can be a guiding lights”. Okrzyk: „Salvation in the blues!”, pokrywa się z Kierkegaardowskim wyznaniem: „Mój smutek jest moją twierdzą” (i to z Kierkegaardem należy łączyć poprzedzający go wers: „Angel in Devil's shoes”). Albo przykład, który Marko lubi najbardziej (bo łączy Bono z ziomkiem Marka), a mianowicie słynne zdanie Andrića³: „Piszę niewiele i z wielkim trudem; bez naszego kraju ani rusz; a ja nie

1 William Butler Yeats, *Kręte schody* (1993). W Polsce wiersz ukazał się w przekładzie Piotra Siemiona pod tytułem *Rozmowa między duszą a osobą*.

2 Jorge Luis Borges Atardeceres, wiersz z tomu *Fervor de Buenos Aires*.

3 Ivo Andrić, podobnie jak Marko (i sam Autor), pochodził z Travnika (Bośnia i Hercegowina [BiH]).

mogę żyć ani z nim, ani bez niego”. Czymże są te słowa, jak nie bliźniaczą frazą *With or Without You*.

Kiedy już dostał się na studia, Marko z premedytacją szukał mieszkania właśnie na parterze. Już od wczesnego dzieciństwa prowadził dziennik. Kiedy zaczął studiować, każdą stronę zapisaną w Travniku kończył słowem „mansarda”¹, a w Sarajewie odnotowywał – „notatki z podziemia”.

Nigdy nie lubił łacińskiej maksymy „Omnia mea mecum porto”, ani też nie uważał jej za możliwą do zrealizowania w tym wypadku. Bardziej podobało mu się przysłowie „Dom może zastąpić ci świat, ale świat nigdy nie zastąpi domu”. Oczywiście lubił też ostatnie zdanie wypowiedziane przez Cezara, to, z powodu którego tuż obok domu w Potur Mahali napisał graffiti: „I Cezar słuchał U2”. Był dumny z tego pomysłu. Przy jakiejś okazji doszedł mianowicie do wniosku, że wymówka Cezara skierowana pod adresem Brutusa w języku angielskim mogłaby się zmienić w rodzaj testamentu, słowa „Et tu, mi fili” przeszłyby w „U2, my son!”.

Kiedy już zjadł śniadanie, wyszedł do przedpokoju i włożył nowe tenisówki. Uśmiechnął się – to były jego pierwsze tenisówki od czasu wczesnego dzieciństwa. Włożył je dzisiaj i pewnie nigdy więcej. Na murawę stadionu nie pozwolono wchodzić w innych butach. Marko nigdy nie zajmował się sportem.

¹ Tytuł minipowieści Danila Kiša, która ukazała się w 1962 roku.

Sejo nigdy nie wszedł na murawę Koševa. Na samą myśl robiło mu się niedobrze. Na trybunach zjawiał się na ogół raz w roku, ale nigdy nie stanął na płycie. Jednak dziś wieczór to uczyni. Spojrzał na swój bilet – na środku napisane było: MURAWA. Uśmiechał się zadowolony.

Sejo urodził się na Grbavicy, a tak naprawdę w Klinice Wojskowej, tyle że zaraz po opuszczeniu porodówki zamieszkał właśnie na Grbavicy, na ostatnim piętrze jednego z wieżowców naprzeciwko Doliny Čupova¹. Ojciec Seja kibicował Partizanowi. Chłopaki z Sarajewa na ogół kibicują tym samym klubom co ich ojcowie, bądź też wybierają ich skrajne przeciwieństwo. Syn kibica FK Željezničar klubu nazywanego pieszczotliwie Željo, zostaje psem FK Sarajevo lub željenistą; syn kibica Crveneje Zvezdy – czerwonogwiazdzą lub partyzantem. To nie oni wybierają klub, to klub wybiera ich. Sejo gardził kibicami z przypadku. On i Željo wyczuli się natychmiast, Željo to było jego przeznaczenie.

¹ Tak kibice FK Željezničar nazywają Stadion Grbavica, na którym gra ich klub.

Pierwsze wspomnienie Seja, najwcześniejsza zachowana z dzieciństwa scena, wiąże się z pewnym popołudniem gdzieś pod koniec lata. Gramolił się właśnie na balustradę balkonu i niewiele brakowało, a spadłby na dół. Matka złapała go w ostatniej chwili. Była niedziela. Później matka często opowiadała, że jak urzeczony wpatrywał się w stadion.

Na mecze Želja zaczął chodzić, nim poszedł do szkoły. Z początku namawiał ojca, by go zabierał, ale odkąd skończył dziesięć lat, chodził już z kolegami, z własną paczką. Ta jego paczka składała się w zasadzie z dwóch grup: małych piłkarzyków z pionierskich zastępów, którzy chodzili na mecze, by wyobrazić sobie, jak to za kilka lat, gdy już podrosną, zagrają w pierwszoligowym meczu, oraz kibiców z przekonania (ich przywódcą był Sejo), którzy nigdy nie marzyli o tym, by zostać piłkarzami. Być kibicem, kibicem z krwi i kości, to było ich pragnienie, miara ich dumy. Dla małych piłkarzyków trenujących w Želju (i z natury rzeczy mu kibicujących) ten klub nigdy nie był szczytem przyszłej kariery, w ich bujnej wyobraźni Željo stanowił zaledwie pierwszą poprzeczkę, którą należało przeskoczyć, jeden ze stopni w drodze do któregoś z klubów „wielkiej czwórki” albo piłkarskiej emigracji. Ich bezustanny doping dla Želja był rytualnie związany z wiarą w przyszły osobisty sukces. Sejo – przeciwnie, kochał Želja bez krztyny egoizmu. Željo to Željo, on to on, a on kochał Želja. To była miłość, prawdziwa miłość, wyzbyta chęci, by przy okazji się wybić. Po prostu kochał klub dla niego samego, a nie z powodu siebie.

Były jeszcze psy, czyli kibole FK Sarajevo. Przechwalali się nowym olimpijskim (wymawiając ten przymiotnik,

rozciągali go w nieskończoność) stadionem. Na okrzyk żeljenistów: „Nienawidzę Koševa”, odpowiadali celnym żartem: „Ale na Koševie¹ się urodziłeś”. Sejo był dumny, bo jego to nie dotyczyło. On urodził się w Klinice Wojskowej przy ulicy Kranjčevicia.

Videoton². Był w pierwszej klasie szkoły średniej. Od tamtego meczu Željko został najlepszym kumplem Seja, ten Željko, którego jedyną jak dotąd zaletą był fakt, że w sposób naturalny przezwano go Željo. Okularnik, trochę luzus, nie grał w piłkę, bo był niezgułą, a do grona kibiców Želja przyjęto go tylko z powodu przyzwyczajenia i niebywalej wytrwałości. Był potulny, wręcz unizony, więc go tolerowali. Ale jeden numer, który wykonał, zachwyił Seja (i resztę ekipy). Dwa dni po meczu z Videotonem odbywał się Dzień Szkoły i wszyscy musieli być obecni na uroczystości. Uczucie zawodu jeszcze nie minęło (w przypadku Seja było to w ogóle nie do pomyślenia). Željko brał udział w programie. Miał stanąć przed mikrofonem w spodniach zaprasowanych w kant oraz białej koszulce i wyrecytować jeden z wierszy Matoša. Tymczasem Željko wyszedł przed oblicze znakomitych oficjeli w szortach i dresie Želja, po czym gromkim głosem wspaniale wyrecytował wymagany wiersz. Tylko ostatni wers nieznacznie zmienił, mówiąc: „Željezničara wessała juž dal”. Doigrał się, dostał naganę

1 Na sarajewskim wzgórzu Koševo mieści się także szpital, a w nim porodówka.

2 Węgierski klub piłkarski, który w 1985 roku zwyciężył FK Željezničar w półfinale Pucharu UEFA. Zawodnicy z Sarajewa stracili wówczas szansę na swój największy sukces, w finale graliby z Realem Madryt.

poprzedzającą wyrzucenie, ale warto było. Koledzy wynieśli go z sali na rękach, niczym strzelca decydującego gola i bohatera meczu.

Czas mijał, Sejo skończył szkołę średnią, poszedł do wojska, wrócił, trochę kelnerował. Większość ekipy (wśród nich także Željko) coś tam studiowała. Nadal chodził na wszystkie mecze na Grbavicy, czasem też kibicował na wyjeździe. Ze starą ekipą wybierał się głównie na mecze przeciw psom. Na tych swoich studiach nagle wszyscy zrobili się strasznie ważni. Zgrywali zatroskanych i truli coś o wojnie.

Ojciec na szczęście był lepiej zorientowany w ogólnej sytuacji niż on. To dzięki niemu cała rodzina opuściła Grbavicę dosłownie w ostatniej chwili. Dostali puste mieszkanie na Ciglanach. Sejo i tak rzadko w nim bywał, ale nigdy nie wyszedł na balkon. Nie z obawy przed ostrzałem; po prostu nie chciał patrzeć na Koševo. Miał za sobą walki na wszystkich liniach od Vogošci do Treskavicy, pod koniec dziewięćdziesiątego trzeciego został ranny w nogę (wciąż go boli przy zmianie pogody), a latem dziewięćdziesiątego czwartego dowiedział się, że Željko zginął, mając na sobie nieprzyjacielski mundur. Sejo zapłakał po raz pierwszy od Videotonu, koło przyjaźni się zamknęło. Wiedział dobrze: Željкови podobało się to, że może wskoczyć w mundur, jemu – przeciwnie. Željko nie był czetnikiem, jak współtowarzysze Seja lubili nazywać każdego żołnierza z szeregów wroga. Dostał wezwanie podobnie jak Sejo. Musiał się stawić.

Wojna się skończyła i Sejo sam wrócił na Grbavicę. Rodzice zostali na Ciglanach. Mieszkanie było niemal całkowicie zdewastowane, ale z pomocą kilku przyjaciół zdołał

je przysposobić tak, by można w nim było żyć. Znów spoglądał z balkonu na stadion, poharatany stadion swojego ukochanego Želja.

Nie mógł spać. Podczas bezsennych nocy zastanawiał się, czy przypadkiem jeden z pocisków wystrzelonych przez jego oddział nie zabił Željka. Coraz częściej pytał sam siebie, po co w ogóle była ta wojna, i coraz częściej sam sobie odpowiadał: wszystko z powodu psów. Dla Seja psy FK Sarajevo zawsze były uosobieniem najgorszych dupków, bezdusznych władców, tych, co gotowi są (Željko uwielbiał ten cytat) podpalić komuś dom, by zrobić sobie jajecznicę. Ta wojna nie była niczym innym, co do tego Sejo nie miał wątpliwości, spalono miliony domów, żeby kilka psów miało ciepłą strawę! Każde środowisko ma swoje psy, ale Sejo nienawidził tych miejscowych. Uwielbiał opowiadać w kółko o jakimś artykule, w którym FK Sarajevo nazwano „bośniacką Crveną Zvezdą”. Zvezda, Croatia, Sarajevo – to wszystko zwykły chłam, uważał Sejo, a Partizan, Hajduk i Željezničar¹ (jak same nazwy wskazują) – to kluby biedaków i ludzi pozbawionych praw, skrzywdzonych i poniżonych, smętnych straceńców i nieszczęsnych buntowników, takich jak on sam, i martwych jak Željko.

Sejo wcisnął bilet do kieszeni i poszedł szukać kamaszy. Nie włożył ich od wojny. Na bilecie znajdowała się informacja, że na murawę można wejść tylko w tenisówkach. Hołota pilnuje swojej trawy! A Sejo właśnie wejdzie w butach i będzie szalał, ile się da! Nigdy nie chciał, by na Koševie było pełno, ale teraz miał nadzieję, że przyjdzie tłum, a stadion wypełni się po brzegi. Że przyjdzie co najmniej

1 Partyzant, Hajduk, Kolejarz.

tylu ludzi, ilu zginęło z powodu psów, i że pod ich ciężarem ten ohydny stadion przepadnie raz na zawsze, wbije się w środek ziemi niby przeciążona winda. Nie obchodził go koncert, ale skakać będzie jak szalony. Jakby miał diabły w duszy, za dziesięciu. Skakać będzie z powodu samego siebie, z powodu Želja, z powodu Željka.

Damir powoli dreptał w miejscu pod budką telefoniczną obok Teatru Młodych. W ręce trzymał kartę do automatu. Czekał, aż kobieta okupująca budkę (starsza, ale niczego sobie) skończy wreszcie rozmowę. Chciał zadzwonić do któregoś z kumpli w Zenicy, żeby sprawdzić, czy już wyruszyli, a jeśli nie, to kiedy i gdzie mogą się spotkać.

Był w mundurze, w mundurze moro z oznakami Wojsk Federacji. Trochę nerwowo rozglądał się wokół siebie w obawie przed patrolem żołnierzy z białymi opaskami na rękawach, tych z żandarmerii. Damir odbywał obowiązkową służbę wojskową, ale rankiem uciekł z koszar w Hadżiciach. Uciekł, bo chciał pojechać na koncert. Właściwie to miał nadzieję, że w weekend poprzedzający koncert jak zwykle puszczą go do domu, i zamierzał przedłużyć swoją nieobecność do środy. Dokładnie rzecz biorąc, pójść we wtorek wieczorem na koncert, a w koszarach zjawić się w środę, zamiast w poniedziałek rano. Zmyśliłby na poczekaniu przekonującą wymówkę, jak przejdzie – to przejdzie. Tymczasem jednak dowódca wpadł na pomysł, żeby w ten właśnie weekend nikomu nie dawać przepustki. Damir nie

chciał przegapić koncertu. W nocy z poniedziałku na wtorek wartę miał Dervo. Damir dogadał się z nim, że koło piątej rano przymknie oko.

– Kiedy wrócisz? – dopytywał się Dervo.

– W środę rano.

– To trzy dni paki, wiesz?

– Wiem.

O szóstej wsiadł do autobusu i ruszył do Sarajewa. Na Marindvorze zjadł hot doga z keczupem. Później wypił kawę w jakimś barze i trochę posnuł się uliczkami Skenderii. Około wpół do jedenastej zdecydował, że pójdzie na pocztę. Wolał nikogo nie budzić, ale też nie zamierzał dopuścić, by gdzieś się minęli.

Ekipa Damira to głównie ludzie z jego klasy technikum ekonomicznego w Zenicy. Po maturze prawie wszyscy poszli na prawo albo ekonomię w tejże Zenicy. Niektóre z pań ruszyły do Szkoły Pedagogicznej, ale ich i tak wojsko nie tyka. Większość chłopaków nigdy nie poszłaby na studia, gdyby nie konieczność ucieczki przed wojskiem. Odsuwali służbę w nadziei, że zostanie skrócona. Ci bardziej optymistycznie nastawieni do życia wierzyli nawet w demilitaryzację, która miałaby zostać przeprowadzona w najbliższych latach. Tylko Damir i Eso pojechali do Sarajewa na egzaminy wstępne. Esa przyjęto na stomatologię, Damir poległ na Akademii Sztuk Pięknych.

Już w podstawówce świetnie rysował. Z zajęć plastycznych same piątki, szef sekcji malarskiej, laury w szkolnych i regionalnych konkursach. Kolegom na okładkach zeszytów rysował bohaterów komiksów, a kiedy pod koniec wojny brat Damira otwierał kawiarenkę, wykonał mu kilka plafonów: Koloseum, antyczny łuk triumfalny, Cezara

i gladiatorów. Kawiarenka nazywała się Rzym. Wszyscy wiedzieli, że Damir będzie malarzem, a kiedy skończyła się wojna, oczekiwali jego chlubnego przyjęcia na sarajewską Akademię Sztuk Pięknych.

Damir długo przygotowywał się do egzaminu wstępnego, choć kumple mówili mu, że to niepotrzebne, wszystkich znokautuje. Na kilka miesięcy przed terminem wykonał rysunki, które należało złożyć w teczce przy zgłoszeniu. Przystąpił do egzaminu wstępnego, był z siebie zadowolony i – poległ! Ośmiornica, uznali koledzy, a Damir obojętnie machnął ręką. Nadrabiał miną, a przecież nie było mu wszystko jedno.

Rodzice i cała ekipa namawiali go, by w drugim terminie pro forma zapisał się na ekonomię, a w następnym roku znów podszedł do egzaminu na Akademię. Ośmiornica nie żyje wiecznie, powtarzali. Ale Damir już nie chciał. Zrezygnował ze studiów, czekał na wezwanie do wojska.

Bo też klęska na egzaminie wstępnym złamała Damira. Zrozumiał, że są dwa możliwe wytłumaczenia. Albo nie umie rysować (a to bolało), albo (co bolało jeszcze bardziej) przyjęcie na Akademię nie zależy od talentu, tylko od czegoś innego. Na taką uczelnię wcale nie miał zamiaru się wybierać, nawet gdyby w następnym roku mieli go powitać na czerwonym dywanie. Jeśli jednak rzeczywiście nie umie rysować, nie dowie się tego także za rok. Nie było więc potrzeby, by znów przystępował do egzaminu wstępnego.

Dostał wezwanie na wiosnę, kiedy już przyzwyczał się do bezczynności. Dużo rysował i był zadowolony z efektów. Niepotrzebna mi Akademia, żebym czuł się szczęśliwy, malując – zdecydował.

Kiedy tamtego ranka, we wtorek, w dniu koncertu, pędził ze Skenderii do Teatru Młodych, minął budynek Akademii Sztuk Pięknych. Przed jego fasadą leniuchowali studenci i studentki, wylegując się niczym jaszczurki na słońcu. Uśmiechnął się łaskawie. W cywilu wspaniale jest być jaszczurką, ale w wojsku, hola, to co innego, pomyślał pewnie. Patrzył na tych świadomie udziwnionych młodych chłopców z ogolonymi głowami, w chustkach na szyi i obrzydliwych kolorowych okularach słonecznych. Patrzył na dziewczyny, śliczniutki, ale jakże sterylne, wciśnięte w syntetyczne sukienki, z krzykliwie ufarbowanymi włosami, kiedy tak szpanersko nosiły swoje bloki i teczki pod pachą i nachalnie gestykulowały wolną ręką, z nieodzownym papierosem wciśniętym między palce, wywołując jednocześnie dużo hałasu i gardłowo się śmiejąc. Długo je obserwował i w końcu uśmiechnął się szeroko. Pewnie było mu miło, że go nie przyjęli, pewnie było mu miło, że nie zastygł w pozie marionetki, w cieniu jakiejś kopii kiepskiej jakości. Niemal z rozkoszą mógł teraz myśleć o trzech dniach paki, które go czekały. Czymże są trzy dni w obliczu całego życia?

Dobrze zakonserwowana kobieta skończyła wreszcie rozmowę i Damir wszedł do budki. Zadzwoił do Mladena. Ten natychmiast podniósł słuchawkę.

- Aleś mnie dopadł, stary! Właśnie wychodzę.
- Gdzie?
- Najpierw na kawę, a później prosto do pociągu, ruszamy na koncert.
- Kurwa, co za pociąg?
- Na jakim ty świecie żyjesz! Pociąg jedzie specjalnie na koncert.

– To jak się zobaczymy?

– Spoko. Przyjdź na dworzec koło pierwszej, wpół do drugiej...

– Jasne, stary!

– No to kontakt...

Wyszedł z budki, bawiąc się kartą. Pociąg, ale numer! Ten koncert to niezłe jaja! Wsunął kartę do kieszeni, wyjął paczkę papierosów. Teraz siądzie na dupie, zapali, a później z wolna ruszy pod górę.

Zdaniem wielu to Ambassador uczynił najwięcej, by do koncertu w ogóle doszło. Z Bono poznał się w dziewięćdziesiątym piątym roku w Modenie, a dwa lata później ich przyjaźń osiągnęła ten etap, że nazwisko Ambasadora znalazło się w spisie osób, którym na obwolucie albumu *Pop U2* wyraziło podziękowanie. Mało tego, znalazło się w pewnym sensie na honorowym miejscu, przed Wimem Wendersem.

W trakcie organizacji koncertu Ambassador odegrał podwójną rolę. Z jednej strony jako przyjaciel miał wpływ na Bono, z drugiej zaś naciskał na bośniackie władze, by na wszelkie możliwe sposoby wsparły ten koncert. Ambassador, nawiasem mówiąc, był obywatelem amerykańskim, choć pochodził z Bośni. Marko znał kilku jego krewnych, którzy mieli w Travniku knajpę *Drvored*, a jedna z sarajewskich ulic nosiła imię matki Ambasadora.

Na kilka dni przed koncertem Ambassador przebywał służbowo w Hadze. Zamierzał udać się do Sarajewa bezpośrednio stamtąd, jednak U2 zaprosili go do odbycia tej podróży wraz z nimi, prywatnym samolotem z Nicei. W noc

poprzedzającą słynny wtorek ruszył więc do Nicei. Dotarł tam rano następnego dnia.

W Nicei Ambasador musiał po raz kolejny odegrać rolę dyżurnego zbawcy. Po dwugodzinnym oczekiwaniu, by wydano im zgodę na lądowanie, i ogólnej nerwicy Ambasador wezwał kontrolę powietrzną NATO we Włoszech i zlikwidował problem.

W samolocie siedział naprzeciwko Edge'a i wieloletniego menedżera u2 Paula McGuinnessa. Ten drugi krawędzią swojej aktówki przypadkiem rozdarł lekko spodnie Ambasadora. W okamgnieniu wyrosła spod ziemi dziewczyna z igłą i nitką w ręce.

Podczas gdy samolot zbliżał się do Adriatyku, Ambasador jak wytrawny przewodnik turystyczny zaczął mówić o historii i geografii. Kiedy już siedli na pasie, oparł ręce na kolanach, po czym wstał. Pod palcem wskazującym wy-czuł małe chropawe miejsce, zaszytą dziurkę.

Po dwóch godzinach jazdy szosą wzdłuż morskiego wybrzeża autobus z Dubrownika ruszył przez dolinę Neretvy na północ. Był wypełniony po brzegi; to był zorganizowany wyjazd na koncert U2 w Sarajewie. Jedno z przednich siedzeń zajęły dwie przyjaciółki: Amra i Ksenia.

Amra i Ksenia były maturzystkami. Chociaż to dzień powszedni, nie miały lekcji. Ich klasa wyjechała na ośmiodniową wycieczkę na trasie Budapeszt–Wiedeń–Praga. Ruszyli w piątek, mają wrócić w następną sobotę. Amra i Ksenia nie pojechały. Nie chciały przegapić koncertu.

Gdyby spytać Ksenię, pewnie odżałowała by te dwadzieścia marek (W końcu cóż to takiego? Nawet nie sto kun!). Ale nie chciała zawieść przyjaciółki. Amra już dawno, dzięki pomocy krewnych z Mostaru, kupiła dla nich dwóch bilety. Zaczęły nawet myśleć o stopie (żadna nie zrobiła prawa jazdy), kiedy nagle usłyszały, że jakaś agencja organizuje wyjazd na koncert, i zapłaciły wszystko. Wtedy w ogóle jeszcze nie myślały o maturalnej wycieczce. Potem zaczęło się mówić o pierwszych dniach października, jeszcze później o maju następnego roku kalendarzowego,

ale kiedy okazało się, że wyjazd nastąpi dziewiętnastego września, Amra nie wahała się nawet przez chwilę – czymże jest zwykła wycieczka w porównaniu z koncertem U2?! Ksenia, jak zwykle, poparła Amrę. Przyjaciółki, rzecz jasna, odwoziły je od pomysłu: koncertów będzie jeszcze w bród, a maturalny wypad jest tylko raz w życiu! Jednak Amra okazała się nieugięta. Zawsze denerwowała ją ta poetyka „tylko raz w życiu”: tylko raz w życiu świętujesz siedemnaste urodziny, tylko raz w życiu tracisz dziewictwo, tylko raz w życiu idziesz na bal maturalny. Dlaczego nikt nie mówi: tylko raz w życiu słuchasz *Love is Blindness* o północy w strugach deszczu na Stradunie? Wszystko dzieje się tylko raz w życiu!

Odkąd ruszyły, Ksenia śpi. Położyła głowę na ramieniu Amry, która siedzi przy oknie i patrzy. Ciemne okulary przytrzymują jej włosy niby typowa opaska. Ma ładną, chociaż trochę dziobatą twarz. Oczy lekko skośne jak u Chinki. Krótkie czerwone włosy.

Amra była jedną z tych słodkich, mądrych panienek, które w skrytości ducha cierpią, bo nie są rasowymi pięknosciami, niechby nawet głupimi. Mając niskie zawieszenie, ale kształtne ciało, daremnie pałały żądzą, by wystrzelić w górę i mieć mleczną karnację. W okresie tuż przed dojrzewaniem stawały się zazwyczaj małymi figlarnymi uwodzicielkami i całkowicie platonicznymi łamaczkami serc, jednak gdy zaczynały szaleć w nich hormony, zostawały zepchnięte w cień przez niezauważane dotąd długonogie milczki.

Jednakże Amra, odkąd stała się kobietą (gdzieś tak w pierwszej klasie szkoły średniej), miała sporo ciekawych chłopaków. Jeden z nich (chyba ten pierwszy) odkrył dla

niej U2. Chociaż wkrótce się rozstali, pasję związaną z zespołem pielęgnowała dalej jako swoją własną. Te pasje to tak naprawdę jedyne jej wspomnienia miłosne. Od jednego chłopaka przejęła U2, od drugiego picie belgijskiego stella artois, od trzeciego sporadyczne palenie trawy.

Ale głównego powodu, dla którego wybrała się na koncert, Amra nie zdradziła nikomu, nawet Kseni. Wydawało jej się to wariackie, ale w snach i w chwilach upojenia – niekiedy całkiem możliwe. Wiedziała, że w trakcie wszystkich koncertów Bono wyciąga przypadkową dziewczynę z publiczności i tańczy z nią, śpiewając piosenkę. Amra naprawdę miała nadzieję, że wybierze właśnie ją, a tą piosenką będzie *With or Without You*.

Fizycznie Bono niespecjalnie się Amrze podobał. Zapewne wydawał jej się starszy i bez wątpienia odrzuciłaby ewentualną propozycję tajemnej one night stand. To, czego pragnęła, to tylko taniec z Bono na oczach dziesiątków tysięcy ludzi, szansa, że zobaczy na wielkim ekranie swoją twarz wtuloną w ramiona Bono. Pierwszego chłopaka Amra zostawiła dla jakiegoś głupka, znanego w lokalnym środowisku gitarzysty. Kiedy ów był pytał ją dlaczego, milczała. Ale najwyraźniej przejrzał ją na wylot. Powiedział mianowicie, że zawsze szukał Amry w piosenkach U2, ale najlepszy jej opis dali mimo wszystko Beatlesi. Po kilku dniach dostała płytę. Na obwolucie zaznaczył kółkiem czwórkę, obok piosenki *Girl*. Na stronie wewnętrznej, niczym dedykacja, napisane było: „Was she told when she was young that fame would lead to pleasure?”.

Gdzieś tak między Metkovićem a Čapljiną autobus zatrzymał się na granicy. Amra delikatnie potrząsnęła Ksenią, próbując ją zbudzić. Szepnęła, że są na przejściu

granicznym i musi przygotować paszport. Wciąż jeszcze zaspana tłuściutka Ksenia przecierała kaprawe oczy. Spoglądała na Amrę niemal zakochanym wzrokiem. Biedna Ksenia, skazana na kopiowanie już powielonych pasji Amry.

Azra miała dwa bilety: jeden na murawę, drugi na trybuny. Pierwszego dnia, kiedy rozpoczęto sprzedaż, kupiła dla siebie bilet na murawę. Mniej więcej w miesiąc później rozmyśliła się i dokupiła jeszcze jeden na trybuny. Tego na murawę nie chciała nikomu oddać ani sprzedać – może znów zmieni zdanie.

Azra studiowała filozofię. Zamknęła na czysto trzeci rok, przeszła na czwarty. Teraz czekała na rozpoczęcie zajęć. U2 kochała od zawsze, od samego początku, odkąd, jak niekiedy mówiła, stała się intelektualnie i emocjonalnie świadoma własnego istnienia. Jednak przez wiele dni wahała się, czy w ogóle iść na występ U2. Dzisiaj, w sam dzień koncertu, około południa zrozumiała, że nie chce.

Już kiedy pojawiły się nikłe nadzieje i z pozoru nazbyt optymistyczne zapowiedzi, Azra miała nadzieję, że U2 zagra w Sarajewie. Tak jakby uważała, że jeśli koncert się odbędzie, jej życie wreszcie znów stanie się normalne. Kiedyś, pod sam koniec wojny, powiedziała matce: Dla mnie ta wojna skończy się dopiero wtedy, kiedy U2 zagra tu swój koncert. W czasie wojny zginął brat Azry.

Nie lubiła sobie tego przypominać ani o tym mówić. Był piękny letni dzień, on miał szesnaście lat. Kilkanaścioro dziewcząt i chłopców takich jak on siedziało na ławce przed blokiem w tej właśnie chwili, gdy popołudnie przechodzi w zmierzch, a powietrze jest fioletowe. Gwizd, wybuch, krzyki. Nie uderzył bardzo blisko. Nikomu włos z głowy nie spadł, tylko jej brata jeden z odłamków trafił w potylicę.

Ojciec Azry był lekarzem i profesorem uczelni medycznej. W synu widział swojego przyszłego kolegę po fachu. Mały był zdrowy jak byk, więc ojciec często mówił, że los trzyma go z dala od szpitalnego łóżka, bo zachowuje go dla przyszłej kariery, dla trwającej przez całe życie troski o tych, którzy z łóżek nie wstają.

Po śmierci syna ojciec jeszcze bardziej poświęcił się pracy. Do domu wracał rzadziej. Kiedy już się zjawił, Azra zauważała, że w ogóle nie śpi. Kładł się, a potem przewracał godzinę, dwie. Później wstawał i palił w ciemnościach. Matka odchorowała te kilka miesięcy, płacząc, potem jej ból jakby przycichł. Wpadały do niej do domu siostry, koleżanki i sąsiadki, przygotowywały kawę, paliły, gadały, aż w końcu można też było czasem usłyszeć śmiech.

Azra zaszyła się w samotności i słuchała U2. Ojciec już na początku wojny wstawił im do pokoju akumulator. Po śmierci brata Azra podłączała walkmana i na okrągło słuchała U2. Lubiała słuchać ciurkiem, jedna za drugą, *Yesterday*, piosenki, którą Paul McCartney poświęcił zmarłej matce, i *Tomorrow*, którą Bono poświęcił swojej. Po słowach „Yesterday, all my trouble seemed so far away” w naturalny sposób następowało „Won't you come back tomorrow”. Obie piosenki pomagały jej wierzyć, że terażniejszość,

dzisiaj, *today*, to tylko krótka chwila między wiecznością przed, a więc wiecznością z bratem, i wiecznością po, znowu z bratem, bądź też bez nich obojga, co na jedno wychodzi. Lubiła też słuchać *One Tree Hill*.

Wojna się skończyła i ojciec powoli wracał w utarte koleiny. Azra kontynuowała studia i szło jej naprawdę dobrze. Rodzice byli z tego powodu szczęśliwi. I oto teraz koncert miał się stać sygnałem, że także dla Azry nastął koniec wojny.

Zrezygnowała z pójścia na koncert z powodu nadmiernej pompy. Denerwowały ją hałasty dzieciaków, które cieszyły się koncertem, a w istocie nie znały nawet dobrze U2. Zrezygnowała z murawy, uciekając przed ścisaniem, ale teraz zrozumiała, że również na trybunach byłaby w masie. Nagle przypomniała sobie Kierkegarda, jego wielokrotnie cytowane zdanie: „Tam, gdzie jest tłum, jest także nieprawda”. Jak wyjaśnił to Kierkegaard: „Gdyby nawet zebrał się tłum z jednostek, z których każda z osobna posiadałaby w cichości prawdę, to w <tłumie> tym, który przez głosowanie, wrzask i zgiełk nabiera w jakiś sposób decydującego znaczenia – natychmiast powstałaby nieprawda”¹. Gdyby więc zebrało się pięćdziesiąt tysięcy ludzi (albo tylko pięćdziesięciu) i wszyscy kochaliby U2 tak samo jak ona (a nawet bardziej), to i tak byłoby to kłamstwo!

Azra wyjęła bilety z kieszeni i zrobiła ruch, jak gdyby chciała je podrzeć. Wstrzymała się jednak. Zadrzała jej

¹ Cytat z dodatku do tekstu Sorena Kierkegarda *Punkt widzenia dla mojej działalności pisarskiej* pt.: *Jednostka*, tłum. Andrzej Ściegienny, [w:] *Filozofia egzystencjalna*, wybór Leszek Kołakowski i Krzysztof Pomian, PWN, Warszawa 1965.

broda, a oczy zaszły mgłą. Kiedy zginął jej brat, tak naprawdę najbardziej bolały ją (nikomu nie śmiała tego wyznać) ich kłótnie. Były to najzwyklejsze w świecie sprzeczki dwojga dojrzewających dzieciaków, ale ona nie mogła ich sobie wybaczyć. Była starsza, bardziej dojrzała: czemu to robiła? Spojrzawszy teraz na te dwa kupony, nagle pojęła: nie dlatego kupiła dwa bilety, że się wahała, nie, jeden kupiła dla brata! Tak! On by sobie poszedł na płytę, ona na trybuny; nigdy nie lubiła tłoku. Nie wybraliby się razem – była starsza, brat młodszy; ona zawsze miała swoją ekipę, on swoją. Nie byli żadnym tam rodzeństwem z bajki, które się nigdy nie rozstaje i wiecznie coś sobie szczebioce do ucha, ale się kochali. Tak, kochali się!

Mirso i Roba, w pełnym brzmieniu: Mirsad i Robert, wciąż jeszcze spali, choć minęło południe. Leżeli w swoich łóżkach, przykryci aż po czubek głowy kraciatymi kocami, w wąskim pokoju domu studenckiego na Bjelavach. Położyli się wczoraj koło wpół do czwartej rano. Była lekka popijawa w „Jazzie”.

Obaj pochodzili z Bihacia i tam spędzili całe swoje życie, aż do minionego roku, kiedy zjawili się w Sarajewie, by studiować dziennikarstwo. Prawdę mówiąc, dziennikarstwo było jedynie pretekstem. Mirso złożył wprawdzie pracę seminaryjną i zdał angielski, ale Roba dostarczył tylko pracę. Nie śpieszy im się, zostaną tu jeszcze na przyszły rok. Zaliczą poprawki i zniknie problem podpisu. W kolejnym roku poradzą sobie z warunkiem.

Mirso i Roba nie przyjechali do Sarajewa tylko po to, by żłopać. Nie taki był ich cel, ale na to wyszło. Kiedyś siedzieli w „Jazzie” ze Stefanem, naprawdę świetnym Szwabem, pracownikiem organizacji humanitarnej, aż do szóstej rano i popłynęli na całego. W trakcie upojonej wędrówki do wyjścia Mirso napomknął, że tego dnia o ósmej mają wykład.

Roba parsknął śmiechem, a Stefan zdziwiony spytał, czy rzeczywiście są studentami. Pokazali mu indeksy, na co Stefan, kręcąc głową, odparł, że w takim razie on chyba też powinien zacząć studiować w Bośni.

Przez jakiś czas Mirso i Roba starali się regularnie chodzić na zajęcia. Jednak poczucie nudy było obezwładniające. Z początku zaczęli znikać w trakcie przerw, ale z biegiem czasu przestali przychodzić w ogóle. Zjawiali się w ostatnim tygodniu, żeby zebrać podpisy, i to wszystko.

Trochę kłopotów powstało w związku z jednym podpisem, któryś z profesorów miał być ponoć surowy, prowadzić ewidencję i jeśli zarobiło się trzy minusy za trzy nieobecności – koniec marzeń o podpisie. Przecież to nie medycyna, parsknęli lekceważąco Mirso i Roba. Kiedy życie potwierdziło jednak, że w ostrzegawczych pogłoskach było ziarno prawdy, przypadkiem okazało się też, iż profesor, przejeżdżając przez Bihać, obowiązkowo wpada na pieczyście do restauracji starego Mirsy. Z podpisem nie mieli więc już problemu.

Mirso pierwszy wysunął głowę spod koca. Puściwszy zeza w stronę budzika stojącego na stole, cisnął poduszką w Robę: Wstawaj, baranie. Wciąż leżąc pod kocem, Roba wrzasnął: Daj mi spokój.

- Ej, stary, minęła dwunasta.
- I co?
- Przecież dzisiaj koncert.
- Koncert jest o dziewiątej wieczorem!
- Rusz się wreszcie, daj papierosa.
- Weź se sam.
- Wstawaj, na litość boską. Musimy zapuścić się w tę miejską kloakę we właściwym momencie. Uniknęliśmy

porannego smrodu, postarajmy się zdążyć przed popołudniowym.

– Jasne, tego pokoju bez klozetu też mam powyżej uszu! Wspólny kibel na korytarzu! Tego nie ma nawet w filmach.

Roba w końcu wstał. Włożył spodnie i cisnął Mirsadowi zmiętą paczkę drin. Wychodząc z pokoju, rzucił od niechcienia: Ty zrób kawę, ja nie zamierzam. Mirso leżąc, palił przez pięć, sześć minut. Potem wstał, z dwulitrowej plastikowej butelki nalał trochę wody do dżezwy i postawił ją na palniku.

Dworzec autobusowy pękał w szwach. O drugiej po południu zawsze jest największy tłok, ale dzisiaj wszystko uległo zwielokrotnieniu. O drugiej odjeżdża najwięcej autobusów, a zgodnie z rozkładem jazdy w tym samym czasie powinno ich jeszcze więcej przyjechać.

Miejscowy głupek Mujo, jeden z tych egzotycznych bośniackich szaleńców, których znaleźć można wszędzie, tego dnia też był na dworcu. Tacy jak on z zasady stanowią przedmiot bezlitosnych żartów nieczułych próżniaków, żartów, które śmieszają tylko ich samych. A przecież dilażle, cudaki takie jak Mujo, najczęściej są bardziej rozpoznawalnym symbolem miasta niż akademicy intelektualności bądź ogólnie szanowani mieszkańcy. Życie na ulicy w jakimś sensie ich hartuje, jednocześnie tworząc z nich żyjące pomniki. Ludzie pokroju Muja nigdy nie zostają klasycznymi żebrakami, ale zbierają więcej datków niż cała profesjonalna armia biadoląca na każdym rogu ulicy. Pieniądze dane komuś takiemu jak Mujo w świadomości darczyńców nigdy nie są jałmużną. To już prędzej napiwek dany kelnerowi.

Świadomość Muja zatrzymała się, można powiedzieć, na poziomie sześciolatniego dziecka. Jego największym sukcesem intelektualnym okazało się opanowanie umiejętności czytania (sylabizowania słów, tak bym powiedział; zapewne nigdy nie przeczytał nawet gazety, a co dopiero mówić o książce) i kontrolowania zegarka. Jednocześnie był dziecinnie naiwny i czysty. Wyświechtany frazes „przeprowadzić spragnionego przez wodę” został stworzony jakby na przykładzie Muja. Chociaż jego broda i włosy były zupełnie siwe, wciąż myślał, że to bociany przynoszą dzieci.

Każdy dzień Mujo spędzał na dworcu. Tam też najczęściej sypiał. Wszyscy podróżni go znali. W piękne ciepłe dni jak ten najczęściej siedział na jednej z ławek przed budynkiem i mrużył oczy niby stary kot. Ale tego dnia Mujo był zdenerwowany. Miotał się jak zwierzę w klatce i niespokojnie rozglądał dookoła. Co chwila zerkał na zegarek i tym gorliwiej krążył w kółko. Bełkotał pod nosem: Dzisiaj o drugiej, dzisiaj o drugiej.

Nieszczęsny Mujo padł ofiarą pomyłki typowej nie tylko dla ograniczonych umysłowo. Nazwa U2 kojarzyła mu się z określeniem czasu, tak jakby ktoś umówił spotkanie: Widzimy się o drugiej, u d v a (U2). Zauważywszy, że całe miasto oblepione jest plakatami, na których przy dacie oznaczającej ten dzień dużymi literami napisano U2, Mujo spodziewał się pewnie wielkiego wydarzenia, czegoś, co także jego wyrwałoby z monotonnego ciągu identycznych dni. Z pewnością jacyś okrutni pojebańcy podsunęli mu pomysł, że dwudziestego trzeciego września o drugiej po południu winien czekać na cudowne objawienie. Ale nic się nie działo. Tylko przypadkowi ludzie przechodzili obok

jak każdego dnia. Fakt, było ich trochę więcej, ale ludzie to tylko ludzie.

Tuż obok Muja przeszli też Damir i cała jego ekipa. Spotkali się na dworcu i ruszyli do miasta. Wszyscy byli pełni wrażeń po jeździe pociągiem. Ludzie stoją wszędzie i machają, jakby Tito przejeżdżał, zauważył Ado, i dodał: Co też jeden koncert może sprawić, po pięciu latach ruszyły pociągi. Kiedy mijali Muja, Mladen krzyknął: Spójrzcie na niego, to nasz wykapany Miki! To chyba sarajewski Miki, stwierdziła Selma, wciąż tylko powtarza: dzisiaj o drugiej, dzisiaj o drugiej. Mladen się roześmiał: Pewnie ktoś sobie z niego zakpił, mówiąc o U2. A Damir pociągnął wątek: To jeszcze nic, pamiętasz, moja babcia myślała, że to znaczy dwaj ustasze?!

Nagle Ado wskazał na jeden z autobusów, który przyjechał przed chwilą i podróżni wciąż jeszcze z niego wysiadali: Patrzcie, ekipa z Belgradu też przyjechała na koncert. I rzeczywiście. Autobus miał zapomnianą już dawno rejestrację: BG, Belgrad, trzy cyfry, pięcioramienna gwiazda, trzy cyfry. Z autobusu wysiadała właśnie Svetlana w koszulce U2.

Ulicą prowadzącą do stadionu płynęła rzeka młodych ludzi. Od dołu ulicę zamykał cmentarz, a na jego murze też rozsiadła się młodość. Każdy trzymał coś w ręce: papierosa, puszkę piwa, plastikową butelkę coca-coli, flaszkę wina, hamburgera w aluminiowej folii bądź kanapkę w serwetce. Stroje rozmaite: darkerzy na czarno od stóp do głów, dziewczyny w pastelowych sukienkach, gimnazjaliści jak co dzień – dzinsy, koszula w kratkę, całe watahy chłopaków obnażonych do pasa, tu i tam jakaś grupka w dresach, a fani w swoistych mundurkach, na których bez wyjątku widniał symbol U2. Tę paradę wszechogarniającego karnawału co pewien czas mijał jakiś mężczyzna w średnim wieku w garniturze i pod krawatem albo kobieta w podrabianym kostiumiku Chanel, oboje wracający z pracy. Szli szybko, jakby czuli się niekomfortowo, ale młodzi nie zwracali na nich uwagi.

Hippisi mówili kiedyś: Nie wierz nikomu, kto skończył trzydzieści lat! W masie zdążającej powoli w stronę stadionu niewielu było takich, którym – gdyby zaufać powyższej sugestii – nie należało wierzyć. Ale choć w mniejszości, jednak byli. A wśród nich Ivan.

Ivan to dziennikarz ze Splitu, freelancer, wolny strzelec, ma trzydzieści trzy lata. Nie lubi myśleć o sobie w kategoriach trzydziestotrzylatka. W parterze blue jeans, na górze czarny T-shirt, ciemne włosy związane w ogonek, kozia bródka, lenonki na nosie. Wygląda młodo, zdradzają go tylko zmarszczki i zaokrąglony brzusek. Nie zalicza się do szczególnych wielbicieli U2 oraz ich muzyki, ale nie jest tak, że ich nie lubi. Ujdą w tłoku. Ma w domu dwa, trzy albumy, nie wyłącza radia, gdy ich puszcza. Zjawił się na koncercie, bo lubi koncerty, jak dobrze pójdzie, może napisze jakiś reportaż.

Z tylnej kieszeni džinsów Ivan wyjął zapalniczkę marki Zippo i zmiętą paczkę filterów 160. Spróbował zapalić, ale zippo tylko zaiskrzyło bezskutecznie. Spróbował jeszcze kilka razy, na próżno. Wtedy usłyszał kobiecy głos: Ognia? Obejrzał się i zobaczył gromadkę dziewczyn i chłopaków siedzących na murze cmentarza. Jedna z dziewcząt uśmiechała się i wymachiwała czerwoną plastikową zapalniczką. Ivan podszedł do nich. Było ich dziesięcioro, facetów i bab po równo. Pod murkiem obok dyndających nóg stały trzy kartony piwa Laško. Jeden już poważnie napoczęty: wszyscy trzymali po puszcze w ręce. Ivan pozwolił, by dziewczyna przypaliła mu papierosa, mruknąwszy coś w rodzaju przeprosin: Dzięki, moje zippo odmówiło posłuszeństwa. Ktoś, słysząc jego intonację, rzucił ze śmiechem: No, proszę, trafił nam się obywatel prosto z Dalmacji. Męski głos dodał: Co będziesz mu przypalać, niech sam sobie zapali, wiesz, jak mówią – papierosa przypala się pięknym kobietom i głupim facetom. Niejako w rewanżu Ivan karykaturalnie wzmocnił swój akcent, rozciągając sylaby, jakby onomatopiecznie naśladował krzyk mewy: Aaa, jakiiiż zeee

mnieeee głuuupek; wziąąąłem ziiippa bez beeenzyyyyny, zamiaaast taaakiego plastiiiiikowego cuuuda. Dziewczyna, która podała mu ogień, wyciągnęła wtedy rękę: Jestem Asja. Ivan przedstawił się, po czym uścisnął kilkanaście dłoni. Weź sobie piwo, Ivan, zaproponował chór głosów, a drugie tyle rąk sięgnęło w stronę kartonu, by rzucić gościowi puszkę. Chwila, sam się obsłużę, zaprotestował ze śmiechem Ivan, jak dla mnie to za dużo naraz.

Rozmowa skoncentrowała się na Ivanie. Wyznał, że jest dziennikarzem. Posypały się dowcipy i humorystyczne błagania: Spraw, żebyśmy trafili do gazet! Ktoś go spytał, gdzie jego aparat fotograficzny, przecież powinien zrobić im zdjęcia. Machnął na to ręką, jakby się bronił – gdyby wiedział, że ich spotka, z pewnością wziąłby aparat. A tak uznał, że każda gazeta ma w swoich archiwach zdjęcie U2, w końcu nic ciekawego na tym koncercie się nie wydarzy. I dodał jeszcze: Właśnie pojąłem, że popełniłem błąd. Wow, jesteś fantastyczny, krzyknęli chórem. Co z wami, spytał Ivan, a oni prześcigali się w autoironicznych komentarzach, w kłamliwym użalaniu się nad sobą: Jesteśmy przecież kloszardami, Ivan, my, biedne dzieci klasy robotniczej, ć a f i r i, a więc niewierni, ćpuni i narkomani, zwykli wykolejeńcy, zawsze problematyczni. Wtedy ktoś zaczął niby to śpiewać: Studenci bez dyplomu, kobiety bez urody, kawalerzy bez chaty, podróżni bez szmalu (to o mnie, wtrącił Ivan); ktoś inny podjął wątek: Wokół mnie kłębią się tacy, co powtarzają rok, albo chorzy, albo po prostu maniacy... Fan Štulicia¹ znów się wtrącił: Podstarzałe dziewczyny, narkomani, ulicznice.

¹ Džoni Štulić – jedna z najważniejszych postaci jugosłowiańskiej sceny rockowej; doczekał się wyjątkowo wiernych wielbicieli.

Ivan zrezygnował z kolejnej puszki piwa. Na czyj koncert tak naprawdę się wybieracie? Jezu, żeby tylko Johnny przyjechał, wtrącił ten, który przed chwilą śpiewał, szczupły blondynek w kaszkiecie na głowie. Sięgnąwszy po kolejnego papierosa, Ivan z uśmiechem odwrócił się do Asji. Kiedy szukała zapalniczki, jej twarz się rozjaśniła – jejku, ty palisz filtry 160, od tego zaczynałam, rzuć jednego. Dwóch chłopaków zaczęło chichotać: Ty, Asja, zaczynałaś od czego innego, 169 bez filtra. Przypalając papierosa Ivanowi, Asja zbliżyła twarz do ognia. Zaciągnęła się krótko, po czym z pełną obojętnością odparowała: Ty, chłopczyku, nie masz o tym pojęcia, wysmarkaj nos, zrób siku, idź spać. Jedna z dziewcząt dodała: Zapomniałaś o dobranocce, Asja. Tym razem śmiech dziewczyn zagłuszył chichot facetów.

Ivan sączył piwo z błogim wyrazem twarzy. Poczuł się chyba odmłodzony, jakby nagle cofnął się do studenckich czasów, wcielił w męską wersję Peggy Sue ze starego filmu.

Na piętnaście minut przed zapowiedzianym otwarciem bramek przy wejściu na stadion stali głównie fani i gimnazjaliści. Pierwsi, bo ich czekanie osiągnęło apogeum, bo rosło napięcie i ekscytacja spowodowane wieloletnim oczekiwaniem na spotkanie z idolami na żywo, bo chcieli zająć miejsca tuż przy scenie i znaleźć się jak najbliżej Bono, Edge'a, Adama i Larry'ego, bo pragnęli, by to wyjątkowe doświadczenie związane z fantastycznym koncertem trwało jak najdłużej (a trwa przecież od wejścia na stadion do opuszczenia płyty).

Fani nie do końca rozpoznają się po rozmaitych gadżetach U2, którymi są obwieszani (a większość je ma), bo to może być sprawa fasonu lub zwykłej mimikry. Nie rozpoznają się też po śpiewanych i gwizdanych piosenkach U2 ani po głośnych rozmowach o grupie, którą wielbią najbardziej. Oni po prostu nie należą do tych, co czekając na koncert, robią najwięcej hałasu. Na placu przed stadionem Koševo najwięksi fani U2 rozpoznają się po tym, że wciąż jeszcze nic nie piją. Mam na myśli alkohol, nie palą też trawy. Ale papierosy są konieczne i wypalają jednego za

drugim. Mają wypchane kieszenie: zabrali przynajmniej po dwie paczki. Bo prawdziwi fani nie chcą zbyt wcześnie ruszyć w tango, nie chcą zbyt wcześnie się odurzyć. Jedyne, czego pragną, to z pełną świadomością doświadczyć obcowania z U2. A kiedy koncert już się zacznie, może będzie miło pociągnąć tęgi łyk przy szczególnie ulubionym akordzie czy wersie, może będzie miło, choć nie jest to w żadnym razie nieodzowne, tak naprawdę to tylko nieważny dodatek, nieesencjonalna przyprawa. Przyszli tutaj z powodu U2, a nie żeby się napić, nie żeby – jak to mówią – było im dobrze, nie dla przyjemnej balangi.

Marko oczywiście też już tu jest. Odpala jednego pall malla od drugiego. Snuje się dookoła, wciąż spogląda w stronę bramki, czekając na sygnał do wejścia, i co chwila wsuwa rękę do kieszeni koszuli: sprawdza, czy bilet jest na swoim miejscu, schował go do kieszeni na sercu, co trudno uznać za zbieg okoliczności. Często też spogląda na zegarek. Im bliżej trzeciej, tym bardziej jest niespokojny. Przygryza dolną wargę i marszczy czoło. Jakby wciąż myślał: Byle wejść, byle tylko wejść.

A tymczasem gimnazjaliści (przynajmniej większość z nich) niespecjalnie przejmują się U2. Dopiero niedawno zwrócili na zespół uwagę, tak naprawdę kiedy zaczęto przebąkiwać o koncercie. Wielu ma już nawet jakiś zeszyt ze zdjęciem U2 na okładce, ale to rezultat przedsiębiorczego ducha lokalnych drukarzy. Jeśli zaś chodzi o znajomość muzyki U2, większość dzieciaków nie wyszła poza jeden utwór – ostatni singiel: *Staring at the Sun*. Czekając na wejście na stadion, dostosowują zachowanie do tytułu tej piosenki.

Po co w takim razie w ogóle wybrali się na koncert, czemu przyszli tak wcześnie? Dokąd śpieszą? Śpieszą

w nieznane. To chłopcy i dziewczęta, których wojna dopadła między dziesiątym a trzynastym rokiem życia. Dla nich koncert to po prostu coś wielkiego, o czym opowiadali im rodzice, a także bracia i siostry. Podczas wojennych imprez nocnych (a tylko te wojenne są tak długie i pełne napiętności) słuchali wspomnień z koncertów i rozmaitych podróży z uczuciem podobnym do tego, jakiego doświadczali ich dalecy przodkowie, słuchając bajek. Przyszli na koncert, by zdobyć takie właśnie doświadczenie. Dzięki temu mają nadzieję stać się podobni do starszych, do tych, o których prawdziwych i apokryficznych przeżyciach wciąż lubią słuchać, do posiadaczy świata, którego częścią chcą być. Na próżno. Ich własny inwentarz wspomnień zawsze będzie związany z wojną, a podczas kolejnych nocnych imprez wrócą w myślach do syren i eksplozji.

Adela, Selena, Ema, Zaim, Ervin, Goran i Saša to uczniowie pierwszej klasy szkoły średniej z Konjica. Przyjechali na koncert jak niemal wszyscy uczniowie ich szkoły. Z powodu koncertu oficjalnie odwołano lekcje. Siedzą na ziemi przed bramkami stadionu i czekają na znak, że wolno wchodzić. Chłopakom bliższe jest chyba pierwotne przeznaczenie stadionu – wszyscy czterej są w dresach. Dziewczyny ubrały się starannie w młodzieńczym odruchu właściwym kobietom, który każe włożyć szczególny strój na szczególną okazję. Więcej mówią o pierwszych dniach szkoły (lekcje zaczęły się przed trzema tygodniami) niż o koncercie.

Kiedy w końcu można już było wchodzić na stadion, Marko znalazł się w kolejce za gimnazjalistami z Konjica. Wiedział, że niemal w całej Bośni tego dnia nie ma zajęć w szkołach średnich, i cieszył się, że „rock and roll stops

the school activities”. Chcąc nie chcąc, musiał teraz słuchać rozmowy, która toczyła się tuż przed nim. Chłopcy wypytywali dziewczyny o jakąś uczennicę z drugiej klasy. Martwili się, że jest starsza, ale któraś z dziewcząt powiedziała, żeby się nie załamywali, że wcale nie jest, tylko poszła do szkoły, mając sześć lat, ale tak jak oni jest „z drugiego roku”. Marko roześmiał się, nagle coś sobie uświadamiając. W Travniku zdarzało mu się już oglądać za gimnazjalistkami, te z Konjica też mu się podobają, ale nawet gdyby miał sprawę z jakąś tegoroczną fuksiarą, to i tak zawsze będzie ich dzieliła przepaść. Dla niego „drugi rok” niezmiennie oznacza siedemdziesiąty drugi, to, że ktoś się urodził w 1972, dla nich zaś – że w 1982. Pierwszy raz w życiu Marko poczuł, że się z wolna starzeje.

Z kąta olbrzymiej sceny Ambasador obserwował, jak U2 zmierzają do końca próby dźwiękowej. To też jest życie rockera, pomyślał z pewnością, nie tylko mleko i miód. Niemal każdego dnia trzeba grać dwa razy: najpierw wszystko przećwiczyć tylko dla siebie, dla swoich uszu, a potem grać i śpiewać dla publiczności. Wykonuje się mniej więcej te same piosenki i publiczność też jest wszędzie mniej więcej taka sama. Studentów często zdumiewa nudne życie profesorów, którzy muszą każdego roku wciąż i wciąż od nowa powtarzać tę samą opowieść. Życie rockera – który jest na pozór paradygmatycznym przeciwieństwem profesora – niewiele się różni. Chyba tyle tylko, ile scena od katedry.

Ale ten koncert mógł okazać się inny. Zapewne właśnie to skłoniło Ambasadora, by tak się poświęcić jego organizacji. Zagrany na cześć powrotu Bośni do normalnego życia, formalnie będzie niemal taki sam jak każdy koncert podczas tego tournée, a jednak wszystko będzie inaczej. Koncert U2 dla Bośniaków to nie to samo co, powiedzmy, dla Włochów. Tak naprawdę ten koncert nigdzie nie znaczy tyle, ile tutaj.

W trakcie jazdy do Urzędu Rady Ministrów Ambasador opowiada Bono o fenomenach, które niczym back przy wokalu towarzyszą temu występowi. Kolej ruszyła po raz pierwszy od wojny, w szkołach nie ma lekcji, zjechali ludzie ze wszystkich stron Bośni i Hercegowiny i z każdej części byłej Jugosławii, dzisiaj w CNN Bośnia to dobry news. Bono się roześmiał: This is great; we move trains!

Przed siedzibą rządu Ambasador poklepuje Bono po ramieniu, jakby mówił: Jesteś już tutaj u siebie. Bono żartuje z Edge'em, opowiada, jaką drogę przebył w ciągu minionych pięciu lat: w trakcie tournée ZOO TV na próżno wydzwaniał do premierów, a teraz, no proszę, to premierzy go przyjmują. Adam i Larry komentują coś szeptem, wybuchając co chwila gromkim śmiechem.

Aparaty fotograficzne trzaskają, błyskają flesze, słychać szmer kamer, mikrofony nacierają ze wszystkich stron jak insekty. Członkowie U2 w ogóle nie zwracają na to uwagi. Prowadzeni przez Ambasadora powoli wchodzą do budynku.

Wbiegając, jakby był piłkarzem, Marko znalazł się na stadionie. Przeciął bieżnię w gliniastym kolorze i stanął na murawie. Scena oślepiła go blaskiem. Wreszcie na własne oczy widzi to cudo. Patrzy na nią z wybałuszonymi oczami i rozdziawionymi ustami, patrzy, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie, że wkrótce zobaczy również U2.

O tak, scena jest ogromna. Składa się z dwóch części. Ta duża, główna, rozciąga się na całą szerokość stadionu i coś przypominającego most łączy ją z małą sceną w głębi. Za nią – wielki ekran rozciągnięty niczym płótno gigantycznego kina. Na samej scenie wielka cytryna i wykałaczką, na której czubek nadziano oliwkę. Pośrodku wielki żółty łuk – łuk triumfalny na cześć zwycięstwa U2.

Ekran zajmuje około siedmiuset metrów kwadratowych, a waży prawie trzydzieści ton; na scenie i poza nią znajduje się blisko trzydzieści pięć kilometrów kabli; wszystko to zaopatrują w prąd trzy generatory, które U2 wozi ze sobą na każdy koncert (bez sensu jest więc dowcip krążący po Bośni: Pozwólcie na koncert, a szlag trafi elektrownię w Kakanju!); tysiąc dwieście ton sprzętu dostarczono

piętnastoma autobusami, pięćdziesięcioma dwoma ciężarówkami i jednym samolotem typu Boeing 757; ekipa techniczna całego tournée (a więc i tego koncertu) składa się ze stu siedemdziesięciu ludzi; cytryna ma dziesięć metrów, a oliwka o średnicy dwunastu metrów nadziana została na trzydziestometrową wykałaczkę; w łuku sięgającym trzydziestu metrów umieszczono głośniki o mocy trzydziestu tysięcy watów; dodajmy do tego siedem kamer (sześć mobilnych i jedna statyczna), milion świecących diod, sto dwadzieścia tysięcy przedłużaczy i kto wie, ile czego jeszcze. Marko myślał o wszystkich tych liczbach oraz informacjach, które przeczytał w gazetach (od dziecka świetnie zapamiętywał cyfry). Magia wielkich liczb zawsze przyprawiała go o zawrót głowy. Tym razem jednak zamęt w głowie szerzył się naprawdę jak oszałały. Myślał o pięćdziesięciu tysiącach ludzi, którzy czekają na koncert; o miejscowej logistyce koncertowej: o sprzedawcach biletów, hostessach, chłopakach, którzy oddzierają kupony od biletów, o ochronie; o maszynistach, którzy po kilku latach wsiedli do swoich lokomotyw, i o pracownikach oświaty obdarowanych niespodziewanie wolnym wtorkiem; o dziennikarzach, fotografach i operatorach, którzy rozpełzli się niczym sępy; o całej Bośni i Hercegowinie, bo chyba każdy (naprawdę każdy), kto sam nie wybrał się na koncert, będzie tam miał kogoś bliskiego, kogoś swojego. Potem pomyślał o Włochach, którzy widzieli już koncert (a także Hiszpanach i Francuzach przed nimi), i o Grekach (a także Izraelczykach), którzy dopiero go zobaczą. Technika i parametry sprzętu wszędzie są takie same, liczba uczestników koncertu też mniej więcej podobna, ale ci ludzie, te losy, te ludzkie dusze (lubił frazę, która spodziewany odzew publiczności

opisuje słowami „przybycie pięćdziesięciu tysięcy dusz”), czy to wszystko jest takie samo?

Marko somnambulicznym krokiem zmierzał w stronę sceny. Taksował wzrokiem handlujących koszulkami U2 i pamiątkami, sprzedawców kanapek oraz soków i tych, którzy toczyli piwo. Był jednym z pierwszych na płycie boiska, tak więc pusta przestrzeń wydała mu się ogromna. Zastanawiał się pewnie, jak stadion będzie wyglądać, gdy koncert się zacznie, czy przyjdzie tylu ludzi, że ich włosy widziane z lotu ptaka będą wyglądać jak trawa... Poczł pragnienie, kupił więc jedno piwo, żeby się odświeżyć. Opróżnił je jednym haustem. Spojrzał na pusty kartonowy kubeczek, zmiął go i cisnął na ziemię. Na nieskazitelnie zielonej murawie biała plama była niczym stygmat.

Ludzie wchodzili powoli, ale nieprzerwanym strumieniem, więc Marko zdecydował się zająć miejsce. Usiadł na murawie u samego podnóża sceny. Wyjął paczkę papierosów i zapalił. Wypuszczając dym, rozejrzał się wokół. Po jego lewej stronie, na grubym szarooliwkowym płótnie starego namiotu siedzieli gimnazjaliści z Konjica i pokładali się ze śmiechu. Idą za mną niczym wierzycciele, musiał sobie wtedy pomyśleć Marko.

Zaim, Ervin, Goran, Saša, Adela, Selena i Ema nawet go nie zauważyli. W każdym razie większość z nich. Chłopcy naśladowali kibiców, robiąc meksykańską falę, albo biegali dookoła i bawili się wyobrażoną piłką. Adela i Selena grały w karty, a Ema czytała książkę (*Psa Baskervillów*).

Cały teren wciąż jeszcze wyglądał jak spora polana w weekendowe popołudnie, kiedy wycieczkowicze, na ogół nie znając się nawzajem, drzemią i oddają się lenistwu. Dlatego uwagę Marka przyciągnęła intrygująca swoją żywością

grupa Bułgarów, którzy pili i śpiewali, mało tego, po raz pierwszy tego dnia na stadionie dało się wyczuć dolatującej z ich strony cierpki zapach trawki. Ale spojrzenie Marka przykleiło się do ładnej, wysokiej Bułgarki, o długich, kasztanowych kręconych włosach. Nosiła okulary i miała na sobie bardzo krótką sukienkę w czerwono-białą kratę. Jej nogi i twarz były uderzająco białe. Marko przypomniał sobie utwór *Besrodna nevesta* wykonywany przez Le Mystere Des Voix Bulgares, utwór, którego fragmenty wplecione zostały w *Wake Up Dead Man*.

W ciągu następnych dwóch godzin na płytę boiska weszło wiele osób, wśród nich między innymi Ivan z Asją i jej towarzystwem, a także Damir i ekipa z Zenicy wzmocniona przez przybyłą prosto z Belgradu Svetlanę, którą poznali na dworcu autobusowym. Podeszła do nich i spytała, gdzie jest stadion Koševo, a oni odpowiedzieli jej po prostu, by ruszyła z nimi. Była pierwszy raz w Sarajewie, przyjechała specjalnie na koncert. Na koncert, ale i dla przygody, a także by zrobić na złość rodzicom. Rówieśniczka swoich nowych przyjaciół z Zenicy z początku lekko się wystraszyła na widok Damira w mundurze. Już wcześniej przeraziły ją ruiny po drodze między Driną a Sarajewem, więc na połatane w dużej mierze miasto zareagowała z grubsza rzecz biorąc obojętnie. Zachwyciła się natomiast poczuciem humoru, naturalnością, spontanicznymi reakcjami i niefrasobliwością Damira oraz jego współtowarzyszy obu płci. Musimy wszyscy brzmieć z ekawska¹, żeby ktoś cię nie zde-maskował, powiedział Damir, a ona zaśmiała się głośno.

1 Jedno z dwóch brzmień występujących na terenie byłej Jugosławii, tzw. wschodnie, twarde (obok jekawskiego, połu-

Ponieważ tuż przy scenie było coraz bardziej tłoczno, nie wpuszczano już nowych widzów na tę część murawy. Tym, którzy weszli wcześniej, stawiano pieczętkę, kiedy wychodzili po piwo lub do toalety, żeby mogli wrócić. Ostatnimi osobami, które zdołały wejść do sancta sanctorum stadionu dwudziestego trzeciego września, były Amra i Ksenia. Gdy tylko wysiadły z autobusu, pognały na stadion, chociaż Ksenia proponowała, żeby najpierw pójść na kawę (Mamy dużo...). Przy bramce sektora będącego w bezpośredniej bliskości sceny jakiś typ z ochrony warknął do nich: Jeszcze tylko wy dwie, siksy. Kiedy wreszcie się przepchnęły i zajęły miejsca, zdyszana Amra powiedziała: Wiedziałam, że trzeba się śpieszyć.

dniowo-zachodniego, miękkiego), np. „mleko” – wym. ekawska, „mljeko” – wym. jekawska.

Późnym popołudniem, koło wpół do szóstej, na płycie boiska było niemal pełno, ale trybuny świeciły pustkami. Jedną z nich zarezerwowano dla żołnierzy SFOR i tylko ona sprawiała wrażenie szczelnie wypełnionej. Ciemnozielone nabite żołnierzami rzędy wyglądały jak osobliwe lustrzane odbicie stadionu, a na horyzoncie z wolna zapadał zmrok.

Mirso i Roba weszli na płytę mniej więcej za piętnaście szósta. Byli zaskoczeni, że tak wcześnie zrobiło się pełno. Po śniadaniu opróżnili po pięć, może sześć piw i ruszyli na stadion, mając nadzieję, że do dziewiątej (kiedy zaczynał się koncert) jeszcze golną sobie coś podczas eskapady. Ale spotkał ich zawód. Wbrew ich nadziejom piwo było naprawdę drogie; nie tylko droższe niż w sklepach, ale i w większości knajp (a knajpy w Sarajewie są drogie). Dotarło też do nich, że znaleźliby się w tej samej odległości od sceny, nawet gdyby przyszli o wpół do dziewiątej, tuż przed koncertem. Mogli zostać i jeszcze sobie popić, stwierdził Mirso, a Roba odparł, że teraz, kiedy oderwali im już kupony od biletów, mogą

tylko czekać tutaj i mieć nadzieję na sprzyjający rozwój sytuacji. Nie jest aż tak beznadziejnie, stwierdził Mirso i poklepał się po kieszeni koszuli, mam tu małą działkę szczęścia. Może od razu skręcę nam jednego? spytał. Nie czekając na odpowiedź, wyjął zawiniątko z trawką i paczkę bibulek, po czym z wprawą zaczął skręcać jointa. Wow, tego tylko chciałem się doczekać – jawnie robić skręta, krzyknął Mirso, a kilka głów zwróciło się w jego stronę. Ścisz maksa, poradził mu zawsze bardziej ostrożny Roba, to nie Amsterdam. Am-ster-dam, Am-ster-dam, zaśpiewał w odpowiedzi Mirso.

Sejo stał niedaleko i z ponurym wyrazem twarzy przyglądał się tym dwóm. Nigdy nie lubił ćpunów. Prawdę powiedziawszy, palenie trawki zawsze wydawało mu się nieco pedalską aktywnością, żalonym (i do tego zakazanym) surogatem alkoholu. Ci dwaj denerwowali go z jeszcze innych powodów. Należeli do wyjątkowo obmierzłego dla Seja gatunku bogaczy, którzy zgrywają kloszardów. Na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że ubrani są w łachmany, tyle że te łachmany warte były, lekko licząc, z tysiąc marek. Jakieś wyblakłe spodnie, które wyglądają, jakby miały z dziesięć lat, a tak naprawdę to nowiutki, sztucznie sprany jeans. Na nogach buciory, jego żołnierskie kamasze w porównaniu z nimi to szczyt elegancji, buciory, które oni nazywają martensami, a jedna para kosztuje niemal tyle, co obuwie dla plutonu wojska. Do tego jeszcze koszule z jakąś classy metką, kupione w szem-ranych butikach, które stylizują się na zachodni glamour, koszule takie same jak te, które za chyba dwadzieścia razy mniej sprzedawane są na wszystkich możliwych bazarach. A na dodatek jeszcze ten ich akcent! Sejo go nienawidził.

Wystarczy posłuchać, jak oni twardo wymawiają wszystkie miękkie spółgłoski, człowiek może po prostu dostać szału, gdy ich słucha, szczególnie w takich chwilach. No proszę, prawdziwe z nich psy, mamrocze pod nosem Sejo. Po czym rozgląda się po trybunach. Ucieszył się, bo płyta boiska była już niemal pełna, murawa solidnie stratowana, tak więc nie potrzebował proroczego natchnienia, by przewidzieć skalę dewastacji (totalnej!), gdy zacznie się nieuchronne w trakcie koncertu podskakiwanie w miejscu (jedyne, co budziło jakąś tam sympatię w stosunku do Mirsy i Roby, to fakt, że nie włożyli tenisówek), nie podobało mu się, że trybuny są na wpół puste. Chciał tłumu, ścisku, łamania krzesełek. Całkowicie przytomny śnił, że siedzenia opadają na ziemię niby jesienne liście.

Tymczasem, jeśli wykluczyć trybunę zajęłą przez żołnierzy, średnia wieku uczestników koncertu, którzy wybrali miejsca na trybunach, była przynajmniej o dziesięć lat wyższa od publiczności siedzącej na murawie. Ludzie tuż po trzydziestce i niemal czterdziestoletni, zjednoczeni thirty-somethings, nie kwapili się specjalnie do wyrywania krzesełek. Ubrani w marynarki z miękkiego materiału i ciemne spodnie, jakby to był mundur, z powodu swej jednolitości przypominali żołnierzy. W istocie szczególnie najbardziej odróżniającym „cywilne” trybuny od tych żołnierskich była obecność większej liczby kobiet. Bo też na trybunach siedziały głównie pary w średnim wieku, które czuły się jeszcze dość młode, by chodzić na koncerty rockowe, ale już zbyt stare, by przystać na wspólne pocenie się w tłumie. Mają małe, ich rodzice wciąż żyją, tak więc dziadkowie i babcie cieszą się z wieczoru, który spędzą z wnukami.

Merima i Tin młodym wiekiem wyróżniają się z otoczenia. On ma dwadzieścia trzy, ona dziewiętnaście lat. Dopiero weszli na stadion. Mieli bilety na trybuny, więc nie zaprzęтали sobie głowy miejscami, zresztą niespecjalnie się im śpieszyło. Czas od dziesiątej poprzedniego wieczoru aż do trzeciej po południu w dniu koncertu spędzili w łóżku. Niezbyt często mieli okazję być sam na sam w zamkniętej przestrzeni, która nie byłaby samochodem.

Merima i Tin są z Tuzli. On studiuje medycynę, ona dopiero dostała się na ekonomię. Chodzą ze sobą blisko rok. Rodzice Merimy to typowi przedstawiciele bośniackiego gatunku staroświeckich adoratorów dziewictwa. Przeżyliby szok, gdyby się dowiedzieli, że ich gorączkowa zapobiegliwość związana z Merimą już od mniej więcej pół roku jest całkowicie zbyteczna.

Rodzice Merimy wiedzieli oczywiście, że ich córka spotyka się z Tinem. Sądzieli jednak, że szczyt intymności, jaki młodzi osiągnęli, to całus w policzek. Mimo to uważali, by nigdy nie dać Merimie okazji, która sprzyjałaby pokusie. Wiedzieli, że Tin mieszka z rodzicami oraz czwórką braci i sióstr, tak więc w ich skromnym przybytku nie ma chwili, by nie przebywały tam jednocześnie przynajmniej trzy osoby (jego matka nie pracuje i wychodzi tylko na targ, a bracia i siostry chodzą do szkoły na różne zmiany). Jednak w przypadku ich mieszkania sytuacja była całkowicie odmienna. Merima to jedynaczka, a oboje rodzice pracują. Matce przyszło więc do głowy, by zaprosić starą ciotkę, która ze Zvornika uciekła do Niemiec, żeby przyjechała i zamieszkała z nimi. Mieszkanie często stoi puste, my jesteśmy względnie zamożni, ciotka będzie tu na stałe – zostanie naszym stróżem (niezłomnym stróżem,

uznała Merima), a na dodatek jeszcze coś ugotuje i posprząta, mówili rodzice. Merima doskonale wiedziała, że tę niespodziewaną eksplozję człowieczeństwa spowodował potężny ładunek czujności skierowanej pod adresem jej oraz Tina. Bo choć był świetnym studentem medycyny, niespecjalnie odpowiadał jej rodzicom. Biedny, a na dodatek wyznawana przez niego wiara też nie zasługiwała na pochwałę – tak sobie pewnie kombinowali ci lokalni bogacze, krystalicznie czysti muzułmanie wybudzeni z hibernacji. Byli jednak wystarczająco mądrzy, by zbyt natrętnym sprzeciwem nie prowokować córki do przekory. Uważali, że powinni ten związek utrzymać na poziomie platonicznym, a sam się rozpadnie. Matka Merimy żyła w niejako tołstojskim przekonaniu, że skoro dziewczyna się z kimś przespała, musi też wziąć z nim ślub, w przeciwnym bowiem razie do końca życia będzie kobietą „upadłą”. Napiętowa i odizolowana spędzi resztę życia w samotności, tkając gobeliny. Matka nie wiedziała, czego bardziej się boi: obrazu córki starzejącej się w bujanym fotelu, która traci wzrok od ciągłych robótek, czy całkiem realnej szansy, że jej zięciem zostanie Tin.

Rodzice Merimy pomyśleli o wszystkim, zapomnieli jednak o samochodzie. Bo też ojciec Tina miał starego opła, przywiezionego na specjalnych prawach (bez podatku i cła)¹, którego pożyczał synowi. Pewnego wiosennego wieczoru na jakimś pustkowiu nad Modracem Tin i Merima złożyli przednie siedzenia. Potem przez piętnaście minut samochód trząsał się jak to często pokazują

¹ Takie ulgi przysługiwały po ostatniej wojnie zdemobilizowanym bojownikom Armii BiH.

w rodzimych filmach. Twój imiennik¹ napisał: „Umrę dziś wieczór od nadmiaru piękna”, powiedziała Merima, zapalając pierwszego rozdziewiczonego papierosa. (Denis de Rougemont, który samochód i Hitlera do spółki uważał za „największą zarazę dwudziestego wieku”, z pewnością nie miał na myśli takiego wykorzystania samochodu. Największy nowoczesny myśliciel piszący o miłości wybaczyłby chyba samochodowi w takiej sytuacji pewne mankamenty).

Tymczasem auto-moto olimpiady (jak je nazywali Tin i Merima) były kontynuowane. Merima pragnęła jednak spędzić z Tinem noc. Każdego wieczora musiała stawić się w domu przed wpół do jedenastej. W tych okolicznościach koncert U2 pomoże im wcielić w życie Jaggerowską frazę „Let’s spend the night together”.

Merima zamierzała, oczywiście, wybrać się na koncert samochodem z Tinem. Nie miała jednak odwagi powiedzieć tego rodzicom. Bo też oni, nawiasem mówiąc, nie mieli zaufania do jego umiejętności jako kierowcy. Ilekroć widzieli ją z Tinem w aucie, tylekroć ją przestrzegali, jednak wycieczki po okolicy mogli jeszcze jakoś znieść. Dlatego właśnie od razu usłyszała zastrzeżenia: Nie ma mowy. Sarajewo jest daleko. Z drugiej strony, nie mogła przecież jechać autobusem i wrócić tego samego dnia – nie było połączenia Sarajewo–Tuzla późnym wieczorem. Nawet

¹ Augustin Tin Ujević (1891–1955), urodzony w Dalmacji poeta, eseista, krytyk, publicysta, tłumacz. Jeden z największych przedstawicieli bohemy, najwybitniejszy talent liryczny okresu międzywojennego, mieszkał w Paryżu, w Belgradzie i najdłużej w Zagrzebiu.

nie chcieli słyszeć o tym, że mogłaby się snuć po ulicach aż do samego rana. Ojciec przypomniał sobie wtedy o niemal zapomnianej krewnej z Sarajewa. Zadzwoił i spytał, czy mogłaby przyjąć jego córkę na dwie noce. Zgodziła się: mieszka sama, miejsca jest dość. Jednak kilka dni później, kiedy ciotka polegiwała, a Merima snuła się bezwolnie po domu (Tin właśnie wkuwał), zadzwonił telefon.

– Halo, Merima, kochanie, mówi Dika z Sarajewa. Miałaś jutro do mnie przyjechać...

– Tak, ciociu Diko. Wszystko w porządku?

– Posłuchaj mnie, dziecko. Ja wyjeżdżam nad morze, ale ty spokojnie przyjeżdżaj. Klucz zostawię u sąsiadki. I ani słowa twoim staruszkom. Tak się nad tobą trzęsą, jakbyś miała trzynaście lat, a ty już przecież zostałam studentką. Poradzisz sobie, jesteś dużą dziewczynką.

– Dzięki, ciociu Diko.

Nazajutrz nie pozwoliła, by ojciec odprowadził ją na dworzec. Poszła tam wprawdzie, ale nie wsiadła do autobusu, tylko do samochodu Tina. Dotarli na miejsce koło ósmej, rozgościli się, zjedli kolację i poszli do łóżka. Mniej więcej o jedenastej zadzwonił telefon.

– Merima, mówi mama. Czemu nie dzwonisz?

– Ojej, mamó, właśnie rozmawiałam z ciocią Diką. Jest cudowna.

– Daj ją na chwilę, chcę jej podziękować.

– Nie mogę, bierze prysznic.

– W takim razie, ty jej podziękuj.

– Oczywiście, nie martw się! Ciao...

– Merima, czemu masz taki drżący głos?

– Ależ skąd, wydaje ci się, to międzymiastowa. No, cześć, oczy mi się kleją.

Przez cały czas trwania rozmowy ręce Tina wspinały się po wewnętrznej stronie jej ud. W pachwinach poczuła gęstą wilgoć. Zasnęli o świcie, a obudzili się koło południa. Zjedli śniadanie koło trzeciej, przespacerowali się i poszli na stadion. Nie mogli się doczekać początku koncertu, bo im prędej się zaczęło, tym prędej też skończy.

Koncert rozpoczął oczywiście Ambasador. Było koło siódmej. Stał na scenie z mikrofonem w ręce i patrzył na ogromny tłum. Myślał sobie z pewnością, że w telewizji oglądało go o wiele więcej niż pięćdziesiąt tysięcy ludzi, ale po raz pierwszy zwracał się do takiej masy na żywo. Powiedział kilka okolicznościowych słów i wycofał się. Nie do niego należało dzisiaj perorowanie; on już swoje zrobił.

Na scenę weszli wtedy chórzyści z medresy¹ Gazi Husrev-bega. Dla nich to musiało być dopiero niezwykle, tak wyjść na ogromną estradę, stanąć przed tyloma ludźmi, którzy nie przyszli tu z ich powodu i których światopogląd na ogół diametralnie różnił się od ich własnego. Jednakże byli tu, by śpiewać, i zaśpiewają. A kiedy już ich głosy wzbiją się do nieba, publiczność gromko zaklaszcze.

Wśród głosów, które śpiewały hymn Allahowi, słysząc też było głos Ameli. Jest niespokojna, ale ma wrażenie, że śpiewa, jak nigdy dotąd. Wydaje się jej, że całe dotychczasowe życie przelatuje jej przed oczami niby krótki film.

1 Muzułmańska średnia szkoła duchowna.

Rodzina Ameli nie jest religijna. Wprawdzie nie jedzą wieprzowiny, ojciec chodzi na Bajram do meczetu, a matka pości w pierwszy oraz ostatni dzień ramazanu i w dzień poprzedzający dwudziestą siódmą noc, ale to właściwie wszystko. Tak więc Amela dorastała w atmosferze świeckiej, podobnie jak wszystkie jej koleżanki. Zapraszała Zoricę na baklawę, Zorica ją na pisanki, ale zarówno one dwie, jak ich rodzice nie bardzo potrafili zgłębić zagmatwane dowody tych rytuałów.

Wybuchła wojna, Zorica wyjechała, Amela poszła do szkoły medycznej. Dojrzewanie w wojennych okolicznościach: pierwsze pocałunki na klatce, pierwsze balangi zakrapiane starą gruszkówką. W mieszkaniu Zoricy pojawił się nowy lokator. Na drzwiach przyczepił kartkę: „Głóście selam¹, przekazujcie sobie selam”. Sąsiadom rozdawał jakieś broszury, które w prosty sposób tłumaczą zasady islamu. Amela najpierw czytała je z nudów, później coś się w niej przełamało. Kiedy obok zaczęły spadać pociski, rzuciła się do czytania przekładu dowy². Poszła na kurs arabskiego i znalazła nowych przyjaciół. Wkrótce zaczęła nosić na głowie chustę; okutała się, zamotała, jak wtedy mówiono. Rodziców to wcale nie cieszyło, ale nie wiedzieli, co mieliby jej właściwie powiedzieć. Na ostrożne pytanie matki, po co jej to, odparła ze złością: A co mam robić, pić, kurwić się?! Po trzeciej klasie rzuciła szkołę medyczną i wstąpiła do medresy.

1 Selam (z arab.) – muzułmańskie pozdrowienie, powitanie.

2 Tekst muzułmańskiej modlitwy dziękczynnej.

A teraz, kiedy wchodzili na scenę, członkowie dwóch poprzedzających grup życzyli im szczęścia. Sprawiali wrażenie szczerych. Wszyscy byli w euforii. Tyle że od jednego z nich wyraźnie czuło się alkohol. Właśnie on przypomniał Ameli pierwszego chłopaka, który ją pocałował, Igora. Pewnie on też tak teraz wygląda, pomyślała. Pocałował ją pewnego letniego dnia na początku wojny. Przez całą noc nie mogła zasnąć. Tymczasem Igor wraz z rodziną w ciągu trzech dni opuścił Sarajewo i wyjechał (jak słyszała) do Australii. Potem byli oczywiście inni chłopcy, z którymi się całowała i dotykała, ale tylko Igor wciąż jej się śnił od czasu do czasu. Budziła się zrana potem, a potem brała długi prysznic.

Teraz stoi przed tymi ludźmi i śpiewa, a chciałaby znaleźć się tam na dole, na murawie. Tak przynajmniej sądzi. Chusta przytłacza ją, a uroczystry strój ciąży w ten letni zmierzch, pot zrasza jej czoło, a gula rośnie w gardle. Potrafi jednak zaśpiewać piękniej niż kiedykolwiek i wie, że tej nocy będzie się kajać z powodu swoich myśli.

Coś takiego tylko Bono potrafi, myślał, uśmiechając się, Marko, wyjść na Wembley z Salmanem Rushdinem, a na Koševo z chórem medresy. O tak, Rushdie i chór medresy świetnie do siebie pasują: chór, który śpiewa na koncercie rockowym, i pisarz, który nadał wymiar rockowy islamowi (tak jak Bono chrześcijaństwu).

Jakaś niby to punkowa grupa wyszła na scenę zaraz po chórze i zmusiła Mirsę oraz Robę do podskoków. Sejo przyglądał im się z mieszanymi uczuciami: sprawiało mu to przyjemność, że skaczą w tych swoich, pozał się Boże, kamaszkach (on też skakał), a jednocześnie ich widok napawał go ohydą. Co to za jedni, spytała Damira Svetlana,

pasują do tego koncertu jak pięść do nosa i może jeszcze Miroslav Ilić. Już prędzej Miroslav, odparł Damir, „Ždralovi, ždralovi, kad budete leteli...”¹

Ostatnia grupa występująca jako support zagrała instrumentalną wersję bośniackiego hymnu w stylu czysto rockowym. Marko cieszył się, że któraś z lokalnych gwiazd rozumie w ogóle, co to znaczy grać z U2, rozumie, a więc umiejętnie i mądrze się w to włącza. Bo też jeden kontekst łączył *S one strane Plive* („Jedna si jedina”)² i *The Star Spangled Banner*.

Wkrótce scena znów opustoszała. Podczas występu chóru i kolejnych supportów z wolna, niezauważalnie zapadał zmrok. Znikły ostatnie ślady dnia, wokół zapanowała noc. Jedynym światłem był blask reflektorów. Po scenie zaczęli miotać się technicy, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Temperatura wśród publiczności rosła. Wszyscy spoglądali na zegarki. Martwa cisza spowiła Koševo, jakby pięćdziesiąt tysięcy ludzi nagle zapadło w sen, jakby nikogo nie było.

¹ „Žurawie, žurawie, kiedy odlećcie...”. Cytat z folkowej piosenki, którą śpiewał Miroslav Ilić – jeden z najbardziej znanych artystów jugosłowiańskiej estrady. Popularny głównie w społecznościach wiejskich.

² „Z tamtej strony rzeki Plivy...” – stara bośniacka pieśń (*sevdalinka*); do jej melodii Dino Dervishalidović napisał słowa „Jesteś jedna jedyna...” i to był bośniacki hymn w czasie ostatniej wojny i kilka lat potem.

Potem reflektory zgasły, a ekran stał się jedynym źródłem światła, przez tę jedną chwilę słońcem stadionu. Na ekranie pojawiły się czerwone litery: POP. Dźwięk instrumentu wprowadzającego odbił się echem, a publiczność zaczęła wrzeszczeć w niebogłosy. Nieartykułowanymi dźwiękami dobywającymi się z dziesiątków tysięcy gardeł próbowała przekrzyczeć muzykę. Wydawało się, że wielka masa ludzi jest bezsilna w konfrontacji z techniką, ale gdy na ekranie ukazali się członkowie U2 przeciskający się przez tłum, dopiero wtedy wszyscy wrzasnęli naprawdę. Tak jakby w tym jednym jedynym momencie pojęli, że obraz na ekranie to nie stare zdjęcie, że ten tłum, przez który przechodzi U2, to naprawdę oni sami. Zanim jednak większa część publiczności ochłonęła, Edge, Adam oraz Larry byli już na scenie. Unieśli ręce w geście powitania i zajęli się instrumentami. Pięćdziesiąt tysięcy par oczu próbowało znaleźć Bono, tymczasem on wszedł na scenę w boksterskim płaszczu z kapturem na głowie dokładnie wtedy, gdy końcowe takty instrumentu wprowadzającego przeszły w początek piosenki *Mofo*. Kiedy Marko zobaczył

tego człowieka, którego głos był chyba najbardziej obecny w jego dotychczasowym życiu, którego słuchał bardziej namiętnie niż większości innych, znanych mu osobiście, głos, który najpełniej uosabiał owo nomen est omen – self-fulfilling prophecy (Bono Vox), przeszły go ciarki, jak po elektrowstrząsie. Krzyknął z całych sił dwa słowa: Hey, Bono!

Azra przyszła jednak na koncert, chyba jako ostatnia. Tego dnia, a właściwie tego dnia wieczorem, po raz pierwszy odwiedziła grób brata. Został pochowany na cmentarzu tuż obok stadionu Koševo. Czekala, aż ludzie wejdą na stadion, aż rozproszy się tłum zalewający ulicę prowadzącą na cmentarz. Strzeliście wyprężone białe płyty nagrobne jaśniały w mroku. Chodziła wśród grobów jak w transie. Wiedziała tylko, że jej brat pochowany został pod samym murem. Nagle dostrzegła swoje nazwisko i ukochane imię brata na jednym z pomników, a niżej dwie liczby w nawiasie z kreseczką pomiędzy niczym znak minusa. Różnica wynosiła szesnaście. Miała wrażenie, że słyszy dobiegający skądś, chyba ze stadionu, bośniacki hymn. Wzdrygnęła się. Nie lubiła hymnów. Ilu chłopców, niewiele starszych od jej brata, zginęło, słysząc dźwięczące w uszach hymny? Przecież także jej brat, skrajnie rzecz ujmując, stał się ofiarą spisku tych właśnie hymnów, spisku podniosłych pieśni. Przypomniała sobie, jak kiedyś śledząc dyskusję na temat przyszłego hymnu zjednoczonej Europy, uznała, że od *Ody do radości* lepsza by była *Zooropa* Bono. Lubiła zwłaszcza ten fragment, gdy Bono mówi: „No particular place names / no particular songs”. Teraz przemknęły jej przez głowę słowa będące dalszym ciągiem tamtych: „I’ve been hiding / What am I hiding from? (Don’t worry baby /

You'll be all right / You got the right shoes / To take you through the night...).” Spojrzała w dół. Fluorescencyjne ozdóbki na jej białych tenisówkach lśniły upiornym blaskiem. Gdyby ktoś mnie zobaczył, uznałby pewnie, że to duch, pomyślała i ruszyła w stronę stadionu. Wdrapała się na trybuny, a chłopak, który przy wejściu przedał jej bilet, zdziwiony wpatrywał się w jej plecy. W ręce zostały mu bowiem dwa kupony.

Zdążyłam w sam raz na koncert, pomyślała Azra, usiadłszy. Na ekranie widniało jedno słowo: POP. Po jej lewej stronie chłopak i dziewczyna śmiali się zakochani. Powiedział do niej: Ten Bono to faktycznie prawdziwy prorok. Wskazywał palcem w kierunku Azry: Patrz, bona¹, faktycznie pop. Azra rozejrzała się wokół i też się uśmiechnęła. Po jej prawej stronie siedział zasłuchany młody katolicki ksiądz w sutannie, pop – jak mówią w Bośni.

Marko słuchał *Mofo* wielokrotnie, ale teraz piosenka docierała do niego jakby po raz pierwszy. Nie pamiętał słów. Dziwił się, że Bono nie wita publiczności. Jakie słowa padną na koncercie jako pierwsze? Ale Bono nie śpieszył się z powitaniem. Słowa piosenki doskonale otwierały koncert: „Looking for to save my save my soul”.

Sejo napawał się tłumem. Już od pięciu minut wszyscy skaczą, jakby zaczęło się prawdziwe trzęsienie ziemi. Częściej patrzył na ziemię pod nogami niż na scenę. Nic nie zostanie z tego stadionu, myślał zadowolony. Niekiedy spoglądał pogardliwie na Mirsę i Robę. Skakali, objąwszy się w pasie. Pieprzone pedalskie pieski, mruknął cicho pod nosem, tworząc przypadkową aliterację.

1 Tak chłopcy zwracają się do dziewcząt.

Kiedy utwór *Mofo* przeszedł w *I Will Follow*, Ivan szepnął do Asji: To kawałek z mojej młodości. Krzyknęła tylko: Super! Cała jej ekipa, do niedawna pogrążona w pijackim letargu, teraz skakała niby żabia rodzinka występująca w kreskówce.

Ksenia pojęła wreszcie, że Amra w ogóle nie zwraca na nią uwagi. To dopiero trzecia piosenka, a ona już całkowicie ignoruje przyjaciółkę. Wszyscy się ściskają i wrzeszcząc, dzielą emocjami, a Amra sprawia wrażenie, jakby przyszła sama. Wciąż lustruje scenę, a tak naprawdę nie scenę tylko Bono. Co ona kombinuje, zastanawiała się Ksenia. Amra natomiast chwilowo nie myślała nawet o tańcu z Bono i o wyjściu na scenę. Myślała o swoim pierwszym chłopaku, tym, który powiedział, że szukał jej w piosenkach U2, ale znalazł ją u Beatlesów. Wyjechał do Zagrzebia studiować i rzadko się widywali. (Pewnie jest teraz na koncercie, przyszło jej do głowy. Mur beton tak, tylko gdzie, odpowiadała sama sobie). Widziała go przecież pierwszego maja tego roku i zapytała w przejściu: Może jestem na nowym albumie? Odparował błyskawicznie, żeby posłuchała *Gone*. I właśnie teraz słuchała *Gone* na żywo: „You hurt yourself you hurt your lover / then you discover / what you thought was freedom was just greed / goodbye... no emotional goodnight”. Niech cię szlag, pomyślała, mam nadzieję, że jesteś na koncercie i będziesz patrzył, jak tańczę z Bono.

Nim zaczął śpiewać *Even Better Than the Real Thing*, Bono po raz pierwszy przywitał publiczność i powiedział: Fuck the past, kiss the future, viva Sarajevo! Sejo aż zatrzęsł się z wściekłości. On mu tu będzie postponować przeszłość, jego wspaniałą przeszłość, i gloryfikować nieistniejącą, złudną przyszłość, przyszłość, w której tak naprawdę tylko jedna rzecz jest pewna. A do tego jeszcze to „Viva Sarajevo!”, słowa, których Sejo nie mógł odebrać na Koševie inaczej, jak tylko „Viva FK Sarajevo!”. Bono to też pies Sarajeva, myślał Sejo, wszędzie wokół mnie same psy.

Marko lubił *Even Better Than the Real Thing*, odpowiadała mu funkcja, jaką utwór pełnił na albumie *Achtung Baby*, funkcja uwertury przed clou programu. Uświadomił też sobie, że ludźmi, którzy w sposób najbardziej przekonujący nazywają świat snem, są konsekwentnie Irlandczycy: od Eriugeny do Berkeleya. Żeby nadać sens wspólnemu boskiemu snowi, Irlandczycy tworzą sny, swoje własne sny. Dlatego irlandzkie sny, sny Swifta, Wilde’a, Yeatsa, Joyce’a, Becketta, Bono, są bardziej rzeczywiste od tak zwanego realnego świata, są „even better than the real thing”.

Kiedy zaczęła się *Last Night on Earth* Asja powiedziała Ivanowi: Trzeba przeżyć każdą noc, jakby miała być twoją ostatnią. Ivan spytał wtedy, czy sama tak postępuje. Asja nachyliła się do jego ucha, mimochodem je polizała i szepnęła: Idę o zakład, bierz wszystko, co ci życie niesie.

Pod koniec piosenki Bono pierwszy raz opuścił główną scenę i zapędził się z gitarą w stronę małej. Tłum zaczął w ślad za nim sunąć w tamtą stronę. Tymczasem on podszedł bezpośrednio do publiczności i uścisnął dłoń kilku pojedynczym widzom. Jedną z tych, którzy dotknęli tej nocy ręki Bono, była Amra. Nazajutrz opowie Ksenii, że jego ręka jest wilgotna i ciepła. Ale teraz wpadła w trans. To był dla niej tylko znak, znak, że jej się uda. Uścisk rąk to dopiero gra wstępna, zaledwie prolegomena do jej tańca w ramionach Bono.

A wtedy Bono zarzucił niebieską gitarę niczym tobolek na ramię. Zaczął śpiewać *Until the End of the World*.

Azra uświadomiła sobie w pewnym momencie, że jeden głos słyszy wyraźniej niż głos Bono. Młody ksiądz, który siedział obok niej, śpiewał na całe gardło: „Last time we met it was a low-lit room / We were as close together as bridge and groom / We ate the food, we drank the wine / Everybody having a good time / Except you / You were talking about the end of the world”. Zdumiona wpatrywała się w młodego proboszcza z Kakanja, który w oczywisty sposób rozkoszował się tym najlepszym w jego mniemaniu literackim opisem ostatniej wieczerzy Chrystusa.

Końcówkę piosenki *Until the End of the World* Bono zaśpiewał, leżąc na scenie w pozycji niemal embrionalnej. Ostatnie zamierające dźwięki kompozycji niezauważalnie przeszły w klasyczne akordy znanej wszystkim *New Year's*

Day. Cały stadion wrzasnął jednym głosem, antycypując bohaterski krzyk, który wydaje Bono, zanim powie: „All is quiet on New Year’s Day”.

Svetlana próbowała wytłumaczyć Damirowi, że właśnie ten utwór kocha, że to pierwsza piosenka U2, jaką kiedykolwiek słyszała, że puszcza ją sobie pierwszego dnia każdego stycznia. A ja, wiesz, słucham sobie noworocznego koncertu z Wiednia i śledzę noworoczny turniej czterech skoczni, odparł Damir. Svetlana niemal zakrztusiła się ze śmiechu: Diabeł, jesteś prawdziwym diabłem! Ubierałem też choinkę i chodziłem do Dziadka Mroza, póki tego nie zakazali, kontynuował Damir, i wciąż sobie puszczam tę naszą starą rodzimą śpiewkę: „Nove godine sada dolaze, nove godine, u pravi čas, za nas”¹. Albo tę: „Nova godina kuca na vratima, čaše gore svi, čaše gore svi...”². Przestań, bo padnę, krzyczała Svetlana, a śmiech wyciskał łzy z jej rozbawionych oczu.

Pierwszemu wersowi drugiej zwrotki (zaraz po refrenie) tego właśnie utworu („Under a blood red sky”) pierwszy album live U2 zawdzięcza swój tytuł. Tytułem drugiego albumu nagranych na żywo (*Rattle and Hum*) był drugi wers drugiej zwrotki piosenki *Bullet the Blue Sky* („In a locus wind comes the rattle and hum”). Wymowne jest także to, że *New Year’s Day* to trzecia piosenka z albumu studyjnego *War*, który poprzedza album koncertowy *Under a Blood*

1 „Nadchodzą nowe lata, nowe lata, to właściwy czas dla wszystkich nas”. Tę piosenkę śpiewała rockowa grupa U Škripcu.

2 „To Nowy Rok puka do drzwi, w górę wzniesmy kielichy, w górę kielichy...”. Tę piosenkę śpiewał popularny zespół Nervozni Poštar.

Red Sky, a Bullet the Blue Sky jest czwartą piosenką z albumu *The Joshua Tree*, który z kolei poprzedza płytę *Rattle and Hum*. Pomiędzy płytami nagranych na żywo wyszły dwa albumy studyjne. Zanim ukazała się płyta *Pop*, Marko miał teorię, że U2 wydadzą album koncertowy pod tytułem *Anywhere*, wykorzystując ostatnie słowo trzeciego wersu drugiej zwrotki z piątej piosenki z albumu *Zooropa-Stay* („with satellite television you can go anywhere”).

Marko miał wiele teorii na temat U2. Podchodził do ich albumów jak Sherlock Holmes, szukając śladów metafizycznej harmonii. W piosence *New Year's Day*, dajmy na to, lubił te trochę mniej ważne wersy, które Bono wyrzuca z siebie z lekka wściekły: „Ah, maybe the time is right / ah, maybe tonight”. On też często myślał w Nowy Rok, że ten dzień jest idealny na przeprowadzenie prometejskiej rewolucji (nawiasem mówiąc, kubańska rewolucja Castro rzeczywiście zaczęła się w Nowy Rok). Nowy Rok to paradygmatyczny nowy początek. Mógłby więc stać się także początkiem zupełnie nowego świata, świata sprawiedliwego. Energię roztrwonioną w trakcie głupich, jałowych świąt Marko chętnie przełożyłby na coś konkretnego. To także znajdowało swoje pragmatyczne uzasadnienie w osławionym świątecznym rozluźnieniu *ancient regime'u*. Każdej nocy z trzydziestego pierwszego grudnia na pierwszego stycznia, kiedy trzy wskazówki wreszcie nałożyły się na siebie, Marko przypominał sobie tę piosenkę i myślał o talmudowskiej frazie Haustora¹: „Teraz jest na to czas”.

¹ Zagrzebski zespół, którego słuchali głównie młodzi mieszkańcy miast.

Merima i Tin bez chwili wytchnienia zaśmiewali się do rozpuku. Znow pokazal jej księdza: Tylko spojrz, nasz pop ma zupelny odlot. Bo tez mlody proboszcz rzeczywiscie nie przestawal spiewac na cale gardlo, spiewal *Pride (In the Name of Love)*. Jakze doskonala minimalistyczna ewangelię można było odnaleźć w tych pierwszych dwóch strofach, coś na kształt miniatury na marginesie medialnej Biblii. Dobra Nowina prawie w stylu haiku. („One man come in the name of love / one man come and go / one man come he to justify / one man to overthrow / In the name of love / what more in the name of love / [...] one man walked on the empty beach / one man betrayed with kiss...”). A potem ta perfekcyjnie zbudowana z faktów trzecia strofa, która Martina Luthera Kinga przeobraża w czarnego Chrystusa naszych czasów. Odwołanie się do daty, do jednego, konkretnego kwietniowego dnia przypomina znowu kwietniowe ukrzyżowanie Chrystusa, zrównując Chrystusową pasję i golgotę ze śmiercią MLK w tej niezwyklej elegii kwietniowej.

Koniec utworu przynosił katharsis. Cały stadion zjednoczył się w tej samogłoskowej harmonii, wszyscy krzyczeli samogłoskę „o”, towarzysząc melodii, jakby to była

swoista wariacja na temat starego bośniackiego dowcipu, w którym pewien dostojnik odwołuje się w trakcie otwarcia olimpiady do olimpijskich kólek, myśląc, że to litery. Pod koniec piosenki Bono znów przemówił w języku, w którym już raz w Modenie zacytował Gundulicia („O lijepa, o draga, o slatka slobodo”)¹. Z lekko obcym akcentem i rozciągając słowa, jednak całkowicie zrozumiale, powiedział: Pjevati u Sarajevu je vaš poklon nama².

Podczas gdy na stadionie wrzało, Damir szepnął Svetlanie: Coś mu szwankuje głos, nie ciągnie tak, jak potrafi. Wzruszyła ramionami. Tymczasem Bono, jakby go usłyszał, oznajmił, że głos odmówił mu posłuszeństwa, nie może śpiewać jak zwykle, i poprosił publiczność, by pomogła mu wykonać kolejną piosenkę, domagał się tego, parafrazując niemal dokładnie Pink Floydów: Hey you, would you help me to carry the song? Przyklaskująca wrzawa tłumu zlała się z pierwszymi słowami poszukiwawczej ody *I Still Haven't Found What I'm Looking For*.

I nagle jak na komendę tysiące ludzi wyjęło zapalniczki. Co wywołało tę falę? Może symultaniczny duch czasu, duch chwili, w której kilku ludzi w tym samym momencie sięga po zapalniczkę, tak jak dwaj naukowcy na przeciwnych krańcach świata w tym samym czasie dokonują tego samego odkrycia? Czy też jednak wszystko zaczyna się od pojedynczego, całkowicie osobnego, wybranego człowieka, którego najpierw naśladują najbliżsi sąsiedzi, potem z kolei sąsiedzi sąsiadów, aż wreszcie cały stadion idzie w ich ślady? To nie była sugestia Bono ani kogokolwiek z obecnych

1 „O piękna, o umiłowana, o słodka wolności”.

2 Móc zaśpiewać w Sarajewie – to wasz prezent dla nas.

na scenie, oni spokojnie mogli zacytować swojego przyjaciela Boba Geldofa: „We didn't start the fire”. Jednakże płomyki już tu były, kołysały się w rękach swoich właścicieli, kołysały w rytm piosenki.

Siedząc na trybunach, Azra patrzyła na masę światełek pod sobą. Nie wymachiwała zapalniczką. Uważała, że zaczęła się najlepsza część koncertu i że ludzie na murawie nie mogą jej przeżyć tak, jak ona ją przeżywa. Stoją na dole, nie widzą siebie, widzą pewnie kilka najbliższych ogników, ale nie są w stanie wyobrazić sobie, jak to wygląda z góry. Nie da się uczestniczyć i przeżywać jednocześnie, pomyślała Azra, jedno i drugie nie dokonuje się w tym samym czasie. Tamci są uczestnikami, ona – obserwatorem. Większa różnica dzieli tych na trybunach i tych na płycie niż tych na płycie i tych na scenie. Patrzyła na drobne światełka kołyszące się w rękach niewidocznych ludzi, patrzyła na te patetyczne płomyki na wietrze i przypomniała sobie nagle starą piosenkę o Marilyn Monroe, piosenkę, która w tych dniach znów się zaktualizowała. Jej brat również przeżył swoje życie „like a candle in the wind”, i nawet jeśli świeca zgasła, jej pamięć o bracie, będąca intymną legendą, na pewno nie.

Marko też przypomniał sobie piosenkę *Candle in the Wind*. Nie tylko z powodu zapalniczek. Jej najświeższy revival uświadomił mu mianowicie, że również w historii U2 ta piosenka ma swoje miejsce. I to właśnie w historii koncertów. Bo trzydziestego kwietnia 1985 roku podczas koncertu U2 w Jacksonville na Florydzie Bono zaśpiewał także tę piosenkę.

Merima i Tin też się rozkleili na widok morza płomyków u stóp. Chcieli być jednak i obserwatorami, i uczest-

nikami. Wyciągnęli więc swoje zapalniczki, ozdabiając trybuny własnymi, małymi światełkami. Merima spojrzała w niebo, potem w dół i rzekła: Patrz, to tak, jakby w dole było lustro i odbijały się w nim gwiazdy.

Zapomniawszy o problemach ze swoim zipem, Ivan próbował dołączyć do tych, którzy trzymali światełka w rękach. Jednak po dwóch, trzech próbach skrziesania ognia uświadomił sobie, że został bez paliwa. Nad jego głową Asja trzymała swoją zapalniczkę. Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń, a potem już razem kołysali małym plastikowym przedmiotem.

Młody ksiądz uśmiechał się z lekka tajemniczo, patrząc na stadion pokryty światełkami. To był piękny widok, ale jemu przyszła do głowy swoista zabawa słowna. Niby Galileuszowe „Eppur si mouve” wyszeptał pod nosem: Ileż Lucyferów!

Pod końcówkę piosenki o radości nigdy niezaspokojonego poszukiwania Bono podpiął *Stand By Me* Bena E. Kinga. Marko przypomniał sobie koncert, który odbył się dwudziestego drugiego kwietnia 1987 roku w Los Angeles, koncert otwarty przez *Stand By Me*.

Kiedy zaczęła się piosenka *All I Want Is You*, Bono znów znalazł się na małej scenie. Marko uwielbiał teledysk do tego utworu, teledysk, który był dla niego krótkim filmem na temat Śleponia i Szwabki¹, szczególnym łącznikiem między Bono i jego, Marka, z i o m k i e m.

Merima oczywiście śpiewała Tinowi na ucho „all I want is you”, Ivan i Asja, Damir i Svetlana też śpiewali

¹ Krótkie opowiadanie Ivo Andrića *Ćorkan i Švabica* w tłum. Aliji Dukanovicia.

z całym stadionem, ale bez świadomych, osobistych konotacji. W geście, który Kundera nazwał gestem tęsknoty za nieśmiertelnością, Bono wykorzystał osobliwość języka angielskiego – identyczny zaimek dla liczby pojedynczej i mnogiej – która tłumaczom sprawia tyle trudu, kiedy trzeba rozgraniczyć intymność i tak zwane pluralis majestatis. Położył dłonie na piersiach, następnie wyciągnął ręce ku publiczności i zakomunikował publiczności: „All I want is you”. Pod koniec piosenki nie pozwolił jednak, by ta patetyczna nuta zamieniła koncert w płaczliwe widowisko. Bez ostrzeżenia Bono przeszedł nagle od wzniosłego śpiewu do aforystycznej, pełnej dynamizmu recytacji: „We didn't come to kiss your ass but to kick it!”.

Na małej scenie do Bono dołącza Edge. Z mikrofonami i gitarami w rękach odśpiewują swoistą wersję unplugged *Staring at the Sun*. Marko z uśmiechem obserwował licealistów z Konjica, którzy obejmując się, śpiewali: „Will we ever live in peace? / Cause those that can't do often have to / Those that can't do often have to preach / To they ones staring at the sun...”. Na wyśpiewane przez Bono „military still in town” Damir poklepał się po umundurowanej klatce piersiowej (Svetlana wciąż się śmiała, to jasne), a na „referee won't blow the whistle” wygłosił następujący komentarz: No, popatrz, bona, stary piłkarz (i znów śmiech).

Po tym utworze Bono się wycofał, na scenie został tylko Edge. Światła zgasły i jeden jedyny reflektor skierował snop światła na Dave'a Evansa trzymającego gitarę. Wyglądał niczym święty na starej ikonie, święty, na którego spłynęło światło Bożej łaski. Z wolna zaczął przebierać palcami lewej ręki po gryfie gitary. Grał wstęp do *Sunday Bloody Sunday*.

Znów pojawiły się zapalniczki. Pierwsza fraza „I can't believe the news today” zawierała w sobie dwuznaczny sens. Rozpoczął się ten jeden jedyny raz zagrany w trakcie tournée POPMART utwór, którego tekst sugeruje obecność transzei wykopanych w sercach (Marko pamięta, że kiedyś musiał sprawdzić w słowniku, co znaczy słowo „trenches”, okopy, które w trakcie wojny słyszał każdego dnia), a teraz przypomina wojnę, war (tak nazywa się album, na którym ukazała się ta piosenka, to ona go otwiera), ale jednocześnie słowa „I can't believe the news today” odnoszą się właśnie do dzisiejszego koncertu, do otrzymanej dziś nowiny, Dobrej Nowiny, do zwiastowania.

Całą piosenkę odśpiewano chóralnie. Nie była do końca identyczna z oryginalną wersją; niektóre wersy zostały pominięte, inne zmieniły miejsce, była to naprawdę wyjątkowa *Sunday Bloody Sunday*. Jakby czas się cofnął, jakby rock wrócił do swojej młodości, do czasu wolnego od ironii, do czasu idealizmu i chęci zmieniania świata.

Damir znów próbował zażartować: Spójrz tylko na tych złodziei z U2, gwizdnęli piosenkę naszemu zespołowi, no wiesz, Parni Valjak – „Nedelja, prokleta nedelja, nigdje nikog pustinja, a našim snovima još samo sjećanja...”¹. Ale tym razem nie odpowiedział mu śmiech. W skąpym płomyku światła zapalniczki odniósł wrażenie, że Svetlana płacze.

Kilka lat po koncercie Marko kupi CD z singlem *If God Will Send His Angels*. Na obwolucie będzie niebieskie niebo

¹ Tak naprawdę jugosłowiański zespół Parni Valjak nagrał utwór *Nedelja, prokleta nedelja* w kilka lat po *Sunday Bloody Sunday* i to oni przejęli od U2 słynną frazę.

zasnute sercami uzbrojonymi w anielskie skrzydła. Czwartym (i ostatnim) utworem na singlu będzie *Sunday Bloody Sunday* (Live from Sarajevo). Najwyższy czas, żeby Edge miał swoją czwartą piosenkę, pomyśli sobie Marko. Utwory, które śpiewał Edge, zawsze układały się w osobną kategorię piosenek U2. Najpierw *Seconds* (z albumu *War*) – namiętne ostrzeżenie przed niebezpieczeństwami wojny atomowej, przed grzybami apokalipsy, przed perspektywą, że ze światem będziemy musieli pożegnać się w sekundę; potem *Van Diemen's Land* (z płyty *Rattle and Hum*) – piękna emigrancka ballada, dla której inspiracją był los irlandzkiego poety Johna Boyle'a O'Reilly'ego (wspomina go w którymś ze swoich słynnych esejów sam Oscar Wilde), jedna z ulubionych piosenek Marka, piosenka, dzięki której nauczył się, jak Anglicy nazywają Tasmanię, piosenka, której słowa: „Now kings will rule / And the poor will toil / And tear there hands / As they tear the soil”, stanowią dla Marka chyba najlepszy przykład tego, co nazywa się poetic justice, ciepło-ironiczna wizja rąk pokrytych odciskami będących karą za oranie i symboliczne zadawanie ziemi ran, wizja, która w sposób nienachalny wprowadza słuchaczy w całkowicie buddyjski światopogląd, niczym w wierszu Emersona *Brahma*; i wreszcie *Numb* (z *Zooropy*) – żartobliwy, niemal raperski utwór, dzięki któremu Marko nauczył się przynajmniej dziesięciu nieznanych mu angielskich czasowników. Do tych piosenek dołącza teraz także *Sunday Bloody Sunday* i w pewnym sensie koło się zamyka. Bo na albumie *War* utwór *Sunday Bloody Sunday* poprzedza piosenkę *Seconds*.

Kiedy Edge był sam na scenie, Bono się przebierał. Przygotował military look do *Bullet the Blue Sky*. W żołnierskiej czapce na głowie zaczął śpiewać gniewny protest song napisany pierwotnie jako krytyka amerykańskiej interwencji wojskowej w Salvadorze w latach osiemdziesiątych. Ale Marko wiedział, że Bono przed czterema laty na Wembley (dwunastego sierpnia, dzień po tym jak gościem na jego koncercie był Salman Rushdie) poświęcił tę piosenkę Bośni, odnotowując fakt, że amerykańska interwencja nie doszła do skutku. Słynny emfaticzny krzyk: „Outside is America!”, został wówczas spointowany gniewną tyradą: „America... Where the fuck are you? United Kingdom: Fuck you. Fuck you Germany! Fuck you France! Zoo-nited Nations, Zoo-nited Nations!”.

Dzisiaj piosenka *Bullet the Blue Sky* zabrzmiała wręcz ironicznie. Przez cały czas Bono bawił się parasolem, na którego rączce umieszczono stars and stripes, reprodukcję amerykańskiej flagi. Palił kubańskie cygaro i w stylu Don Kichota wymachiwał otwartym parasolem, jakby walczył z niewidocznym wrogiem.

Bullet the Blue Sky to naprawdę mocny utwór. Mirso i Roba ledwo się go doczekali. Aż do tej chwili koncert niespecjalnie się im podobał. Wreszcie jednak mieli szansę odtańczyć swój ulubiony taniec zwany kopanym. Kopany, jak sama nazwa wskazuje, polega na wykonywaniu agresywnych podskoków do wtóru szybkiej piosenki i w rezultacie tych podskoków czasem się kogoś zahaczy nogą, czyli kopnie. To była ulubiona zabawa Mirsada i Roberta (oraz całej ich paczki) podczas koncertów we wczesnej młodości. Nawet na balu maturalnym, zaraz po tym jak odtańczyli kolo i wszystkie tańce ludowe, Mirso i Roba wykonali kopanego. Ale teraz, na Koševie, Mirso przypadkiem zahaczył nogą Seja, a Sejo nigdy tego nie lubił.

Bo też tylko czekał na pretekst, żeby im dowalić. Sejo dobrze wiedział, co to jest kopany, i nigdy za nim nie przepadał. Skoro chcesz się bić – walcz uczciwie, przywal, bij się jak człowiek. Daruj sobie wszystkie te przypadkowe rytualne ciosy.

Kiedy ostatni refren rozbrzmiewał na stadionie, Sejo złapał Mirsę za kołnierz i wałnął go pięścią w twarz. Mirsa spojrzał na niego osłupiały: Co jest? Sejo znów uderzył. Kiedy Roba złapał go od tyłu, Sejo odwrócił się i zaczął okładać także jego. Roba z miejsca zwałiłby się na ziemię, ale nie miał gdzie. Wszyscy byli ściśnięci jak sardynki, nie było dość miejsca, by człowiek mógł się wyciągnąć jak długi. Zanim ich rozdzielili, Sejo kopnął go jeszcze dwa, trzy razy. Robie ciekła krew z nosa. Mirso objął go i zaczęli przeciskać się razem przez tłum. Będą lizać rany jak najdalej od Seja. Jego tymczasem taksowały badawcze spojrzenia, a on coś mruzczał i przeklinał psów.

Kiedy Bono zaczął śpiewać *Please*, Azra aż się zjeżyła, po prostu cała się zjeżyła. Bardziej niż hymnów nie cierpiała pieśni patriotycznych, tak je nazywano. Przypominała sobie wojnę, kiedy każdy napalony tchórz w mundurze miał swoją pieśń, i ta pieśń, którą wykonywał jakiś marny i przerażony piosenkarz, leciała na okrągło w telewizji. Zawsze były to ody poświęcone wspaniałej i pięknej Bośni, a także wspaniałym ludziom żyjącym w tejże Bośni. Wśród tych wspaniałych ludzi trafiał się czasem jakiś odważny zuch, o którym opowiadała pieśń, i to właśnie on bronił tych wspaniałych ludzi. Brzydziła się takimi pieśniami. A teraz, proszę, Bono śpiewa *Please* i udowadnia, że patriotyczny utwór może być piękny.

Azra siedziała na trybunach, Marko stał na murawie, ale dręczyły ich podobne myśli. Marko również nienawidził heroicznej patetyczności coraz częściej obecnej w bośniackim dyskursie publicznym. Nie było dla niego jasne to oczywiste samooszukiwanie się na temat „naszej sławnej bojowej przeszłości”. Wszystko to nic niewarte, to jeden wielki szajs. Czy naprawdę właśnie Bono musi umieć najlepiej, i to absolutnie przypadkiem, opisać historię Bośni?! W tym jednym wersie starej piosenki, kiedy oranie ziemi nabiera metafizycznych konotacji: „See faces ploughed as fields that once gave no resistance”. Pola, które nie stawiały oporu, w uszach Marka brzmi to znajomo. Kojarzy mu się z maksymą: „Bośnia cichcem zginęła”¹.

1 Maksyma, którą po wielokroć powtarzano w historii BiH: w 1463 roku, kiedy Europa nie uchroniła jej przed okupacją turecką; w 1878, kiedy Europa i Turcja milcząco uznały okupację BiH przez Monarchię Austro-Węgierską, w 1908 roku, kiedy

– Myślisz, że to prawda? – szepnął Tin do Merimy.

– Co?

– Że kochankowie dzielą się tylko tym, co nawzajem sobie ukradną, „it’s what lovers deal, it’s what lovers steal”.

– Może, ale nie sądzę, żeby to było coś złego, nawet jeśli tak.

– Ja też nie, tylko pytam.

– Więc skradnij mi jeden pocałunek!

I tak oto Merima i Tin zaczęli się całować, podczas gdy piosenka *Please* przechodziła w *Where the Streets Have No Name*.

W pierwszym dowodzie osobistym Marka napisano, że mieszka przy ulicy 22. Oktobra, ale jego ojciec zawsze nazywał tę ulicę Potur mahala. Teraz (znów) nazywa się tak oficjalnie. Damir natomiast mieszkał przy ulicy Tita, która w czasie ostatniej wojny nagle stała się ulicą Bana Kulina. Jednak wszyscy nazywali ją wciąż ulicą Tita. Ulice bośniackich miast często zmieniają nazwy, są czymś w rodzaju dowodu osobistego konkretnej epoki historycznej, i z całą pewnością Bośnia bez specjalnego trudu stanie się wkrótce miejscem, „where the streets have no name”.

dokonała się ostateczna aneksja, i w 1918, kiedy BiH włączono do Królestwa Jugosławii (bez zgody wszystkich obywateli). Zdanie to powtarzano też w 1992, kiedy wojna wtargnęła do BiH, i w 1995, kiedy świat zaakceptował podział BiH przypieczętowany porozumieniem w Dayton. W potocznym rozumieniu maksyma znaczy tyle, że BiH dla nikogo nic nie znaczy, ważna jest tylko dla Bośniaków, i wszyscy zawsze zostawiają ten kraj na łaskę i niełaskę losu.

Kiedy skończyła się utopijna kompozycja opowiadająca o dziwnym miejscu z bezimiennymi ulicami, wszyscy zeszli ze sceny. Stage raptem zniknęła w dymie, a z głośników zaczął rozbrzmiewać remix piosenki *Lemon*. Azra przypomniała sobie wtedy czasy, kiedy nie było dla niej jasne, czemu U2 poświęcili jedną z piosenek najzwyklejszej w świecie cytrynie, ale później, w chwili olśnienia, zajrzała do słownika i dowiedziała się, że w slangu „lemon” znaczy to tyle co „brzydka dziewczyna”.

Jednak inspiracją dla koncertowej wersji utworu *Lemon* był jak najbardziej realny owoc – dziesięciometrowa cytryna umieszczona na scenie. I właśnie ona zaczęła się nagle przesuwać i zmierzać w kierunku małej sceny. Kiedy mechaniczny owoc się otworzył, publiczność gromko przywitała U2 w nowym outfit wzorowanym na Village People. Damir zaśpiewał Svetlane na ucho: YMCA (łaj-em-si-ej).

Schodzili z wolna po schodach na małą scenę. Adam z papierosem w zębach. On, Edge i Larry zaczęli grać *Discothèque*, kiedy Bono stał jeszcze u góry schodów. Schodząc bardzo wolno, jakby od niechcenia, w stylu bohaterki

serialu *Dynastia* Lindy, która nosiła to samo nazwisko co Edge, Bono zaśpiewał: „You can reach but you can't grab it / you can't hold it control it you can't bag it”.

Amra zrobiła się niespokojna. Koncert trwał w najlepsze, a Bono wciąż jeszcze nie wciągnął jej na scenę. Może zapomni, jest taki podekscytowany, głos odmówił mu posłuszeństwa, kilkakrotnie był na granicy łez. Ale on nie może zapomnieć, nie może! Słuchając *Discothèque*, tej na pozór trywialnej piosenki, często myślała sobie, że właśnie ona najlepiej opisuje jej życie: „Looking for the one / but you know you're somewhere else instead (...) but you take what you can get / cause it's all that you can find / oh you know there's something more / but tonight tonight tonight”. Tyle razy na próżno szukała jedności bytu („Boże, czy słyszysz, jak płacze jeden człowiek”, napisał poeta z jej miasta, Milan Milišić), a przecież zadowalała się namiastką. Rozciągała życie w nieskończoność jak wyżutą gumę. Ale dziś w nocy czas na clou programu, dziś w nocy zatańczy z Bono.

Kiedy zaczęła się *If You Were That Velvet Dress* Ivan i Asja zaczęli tańczyć wtuleni w siebie. Zaplótł ręce u nasady jej pleców, na wysokości nerek, a ona położyła mu ręce na ramionach.

Marko czekał na ostatnie słowa piosenki, te, które lubił najbardziej. „Who'll catch the star when it falls”, to zawsze przypominało mu sceptycyzm Johna Donne'a, gdy chodziło o możliwość znalezienia prawdziwej, wiernej żony: *Go and catch a falling star*¹.

1 John Donne, *Ten, kto gwiazdę w locie schwyta*, tłum. S. Barańczak.

Gdy tylko Bono wyśpiewał ostatnią frazę tego utworu, podszedł do krawędzi sceny i chwycił jedną z dziewcząt za rękę. Zaczął z nią tańczyć przy pierwszych dźwiękach *With or Without You*. Tą dziewczyną, której szczęśliwa twarz widniała teraz na ogromnym ekranie, tą blondynką o białej cerze, która w klasycznej Chandlerowskiej typizacji podpadłaby pod „pale, pale blonde with anaemia of some non-fatal but incurable type”, nie była oczywiście Amra.

Amra zamarła, kiedy Bono w objęciach innej kobiety śpiewał: „I wait for you / Slight of hand and twist of fate / On bed of nails she makes me wait / And I wait without you”. Czekala na niego, a on wybrał inną. Przez chwilę pożałowała, że nie jest w Pradze; że nie upiła się w tłumie rozkwitających kretynów i kretynek w obskurnym pokoju jakiegoś taniego hoteliku, nie walnęła się spać właśnie tam, nieświadoma wszystkiego; że nazajutrz nie obudzi się, niczego nie pamiętając; że nie będzie za tydzień przypominać sobie idiotycznych i żenujących anegdot, które każde pokolenie maturzystów w kółko opowiada – tych głupich, burleskowych opowieści pełnych nieokrzesanego i agresywnego bezwstydu właściwego młodemu wiekowi; że nie będzie się chwalić własną głupotą, marną, utopioną w samouwielbieniu głupotą bezmyślnej gąski, udawanym wyemancypowanym zadowoleniem pieprzonej nowoczesnej kobietki. Ale szybko się pozbierała. Jej duma była silniejsza od tej niespodziewanej chętki. Dobrze wiedziała, że wszystkim będzie opowiadać o wspaniałym koncercie i o tym, że nie mógł być lepszy. Spojrzała na Ksenię, która jak odurzona wpatrywała się w powiększoną twarz blondynki na ekranie. Ksenia wyczuła, że Amra na nią

patrzy, i wskazując brodą w stronę ekranu, powiedziała: Ale ma super! Amra spochmurniała i wzruszyła ramionami: Też coś!

Piosenka nie zdążyła się jeszcze skończyć, a Bono już odprowadził dziewczynę w tłum publiczności. Przy pożegnaniu przytrzymała jego rękę, jakby nie wierzyła w realność tego, co się wydarzyło.

Podczas gdy *With or Without You* przechodziło w ciszę, technicy rozpełzli się wokół małej sceny. Jeden z nich umieścił na postumencie gramofon z głęboką tubą. Marko uśmiechnął się mimochodem i powiedział cicho sam do siebie: Siedemdziesiąt osiem obrotów, His Master's Voice. A tymczasem na scenie do Bono dołączył mężczyzna w skórzanej kurtce. Przedstawił go: Brian Eno. I wtedy zaczęła się *Miss Sarajevo*.

Asja lubiła tę piosenkę, bo sama była z Sarajewa i знаła dziewczynę, która w czasie wojny została wybrana na sara-jewską miskę i której w jakimś sensie poświęcony został ten utwór. Marko lubił go z innych powodów, lubił, kiedy Bono śpiewając „is there a time”, stawiał na równi zwrócenie się ku Mekce i bożonarodzeniowe drzewka z wyjątkowo trywialnym fenomenem, jakim jest boysband East 17¹, znany wyjątkowo krótko, zaledwie przez przysłowiowe piętnaście warholowskich minut², i oczywiście już zapomniany.

1 „(...) Is there a time First Communion / A time for East 17 / Is there a time to turn the Mecca / Is there a time to be a beauty queen (...) Is there a time for tying ribbons / A time for Christmas trees / Is there a time for laying tables / When the night is set to freeze”.

2 „In the future everyone will be famous for 15 minutes” – jedno z bardziej znanych powiedzeń Andy'ego Warhola.

Starodawny gramofon pojawił się tu, to jasne, dla głosu Pavarottiego. Jego śpiew rozchodził się teraz z przepastnej tuby, a twarz jaśniała na ekranie. Na ekranie mignęła też Miss Sarajewa, koleżanka Asji.

Tymczasem Markowi w trakcie tej piosenki przydarzyła się dziwna rzecz. Dostrzegł mianowicie jedną z licealistek przybyłych z Konjica, która tuż obok niego wspinała się na palce, daremnie próbując zobaczyć małą scenę. Kiedy spostrzegł, jak wiele dziewcząt siedzi na ramionach mężczyzn, zaproponował, poddając się irracjonalnemu impulsowi, by skorzystała z jego pomocy. I tak dziewczyna, dzięki specyficznej parafrazie sytuacji, jaką opisał kiedyś Newton¹, obejrzała wykonanie piosenki *Miss Sarajevo*. Markowi najwyraźniej sprawiało przyjemność trzymanie na ramionach krótko ostrzyżonej czarnulki w wieku licealnym, chociaż czuł się raczej jak starszy krewny, który małą siostrzenicę nosi „na barana”, niż jak uwodziciel. Kiedy piosenka się skończyła, dziewczyna sama zsunęła się z jego pleców i podziękowała. Marko z pewnością puściłby ów drobny incydent w niepamięć, gdyby nie to, że kilka miesięcy później w jakimś francuskim czasopiśmie przeczytał relację z koncertu. Zamieszczono wiele fotografii, ale na tej największej widać było znaną mu dziewczynę, siedzącą na czyichś ramionach, jego ramionach.

¹ „Jeśli widzę dalej, to tylko dlatego, że stoję na ramionach olbrzymów” (z listu do Roberta Hooke’a z 5 lutego 1676).

Zaśpiewawszy *Miss Sarajevo*, Bono pożegnał się z publicznością, powiedział: Thank you, i: Good Night, po czym wraz z pozostałymi wycofał się ze sceny. Dla wszystkich było jednak jasne, że to tylko zamarkowane zniknięcie. Ale gra została zaakceptowana. Należało teraz głośno domagać się bisów, co publiczność natychmiast zrobiła. Wiedziała jednak, że skoro trzeba domagać się bisów, kres koncertu jest już naprawdę bardzo blisko.

I wtedy na ekranie pojawiły się nietoperze, darkerska dekoracja w stylu Gotham City, a z ogromnych głośników popłynęły pierwsze tony piosenki napisanej do filmu *Batman Forever*, piosenki, która nosi tytuł *Hold Me, Thrill Me, Kiss Me, Kill Me*. Publiczność na stadionie jęknęła w dziękczynnym wrzasku.

Słuchając trzeciej strofy, Marko poczuł ciarki na plecach. „They want you to be Jesus / They’ll go down on one knee / But they’ll want their money back / If you alive at thirty-three...”. Kiedy Bono śpiewał, na ekranie za jego plecami przelatywały twarze Marylin Monroe, Kurta Cobaina, Jima Morrisona i na koniec Martina Luthera Kinga,

prześlizgiwały się jak w slot machine. To mogli być i Che Guevara, i JFK, James Dean, Elvis Presley. Bono przejrzał na wylot tę prawie nekrofilską potrzebę cywilizacji – domaganie się młodych martwych idoli, przejrzał i znalazł jej pierwotne źródło w osobie Chrystusa. Martwy Chrystus był przez stulecia główną inspiracją artystów. Martwe ciało młodzieńca na obrazach, freskach, witrażach i mozaikach; w kamieniu i marmurze; w motywach muzycznych i poezji; to ono narzucało się przez pokolenia jako przedmiot adoracji. Autografy sławnych mędrców pełnią teraz rolę niegdysiejszych relikwii. Biografie z tabloidów stanowią nowoczesną ironicznie podaną ewangelię. Wszystko to Bono wyczuł i przekazał poniekąd (Marko nie lubił tego słowa) multimedialnie. Tyle że pod koniec piosenki na ekranie zamarła twarz Marylin Monroe, a Marko pomyślał wtedy o Lady Diane. Jej portretu nie było, program został wymyślony, zanim zginęła, ale ich zbratanie przy *Candle in the Wind*, a także odwiedziny księżnej w mieście Marka tuż przed śmiercią – wszystko to wywołało jej osobę z pamięci. Marko pojął wtedy, że właśnie nieobecność Diany na ekranie sprawiła wrażenie niedopowiedzenia, zostawiła pustą przestrzeń dla własnych przemyśleń, niezbędnych w każdej prawdziwej sztuce.

„The medium is the message”, myślał w duchu McLuhana Marko. A więc mnogość mediów powinna przekazywać mnóstwo przesłań, względnie jedno, ale na wiele sposobów. To właśnie robi Bono: wiersze tłumaczy obrazami na ekranie. Tyle że najbliższy Markowi przykład multimedialności U2 znajdował się na albumie *Pop* i spowodował zdecydowaną niechęć do zakupu tego albumu w formacie CD. *Pop* jest jak stworzony na kasetę, mówił. Ostatnia piosenka

z tego albumu to *Wake Up Dead Man*. Ten utwór Marko lubił najbardziej spośród piosenek Bono, dla których inspiracją był Chrystus, lubił jej niekanoniczną kolokwialność, ot, choćby wtedy, gdy Bono zwraca się do Jezusa jak do przyjaciela, który ma go polecić Ojcu w sprawie pracy: „Your Father, He made a world in seven / He’s in charge in Heaven / Will you put a word in for me”.

Najlepsze są jednak ostatnie słowa piosenki (i albumu): „If there’s an order in all of this disorder / Is it like a tape recorder? / Can we rewind it just once more?”. Przyrównać życie do kasety audio, i to właśnie na kasecie audio, jasne, to może tylko Bono, uznał Marko. Ale w okamgnieniu pojął, że takie zakończenie jest jednocześnie zaproszeniem do dalszego słuchania. I natychmiast nowe odkrycie! Niczego nie trzeba przewijać. Strona B doszła do końca, a więc strona A została automatycznie przewinięta do początku. To zapowiedź nowego życia, cóż za poetycka prawda! Bono był dla Marka największym spośród żyjących artystów, tylko on mógł postawić i rozstrzygnąć w ten sposób fundamentalny problem metafizyki. Marko wiedział, że podczas całego tournée POPMART właśnie *Wake Up Dead Man* było ostatnią piosenką. Wiedział to, czekał i truchlał. Nawet jeśli kasetka zostanie przewinięta automatycznie, koncert nigdy się nie powtórzy.

Najpierw jednak należało posłuchać *Mysterious Ways*. Ksiądz znowu zaśpiewał: „If you want to kiss the sky / Better learn how to kneel / On your knees, boy!”. Merima śpiewała Tinowi na ucho te same słowa, ale nie w głowie jej była modlitwa, już raczej cunnilingus. Niezbadane są wyroki boskie. Tłumaczenie poszczególnych wersów podąża swoimi mysterious ways.

W końcu zaczęła się piosenka, którą Marko uważał za najlepszy utwór rock and rolla w całej jego historii i za najlepiej zinstrumentalizowaną poezję wszechczasów. Zapalniczek było więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

Is it getting better
Or do you feel the same
Will it make it easier on you
Now you got someone to blame

You say
One love
One life
When it's one need
In the night
It's one love
We get to share it
It leaves you baby
If you don't care for it

Did I disappoint you?
Or leave a bad taste in your mouth?
You act like you never had love
And you want me to go without

Well it's too late
Tonight
To drag the past out
Into the light
We're one
But we're not the same
We get to carry each other
Carry each other
One

Have you come here for forgiveness
Have you come to raise the dead
Have you come here to play Jesus
To the lepers in your head
Did I ask to much
More than a lot
You gave me nothing
No it's all I got
We're one
But we're not the same
We hurt each other
Than we do it again
You say
Love is a temple
Love a higher law
Love is a temple
Love the higher law
You ask me to enter
But then you make me crawl
And I can't be holding on
To what you got
When all you got is hurt

One love
One blood
One life
You got to do what you should

One life
With each other
Sisters
Brothers

One life
But we're not the same
We get to carry each other
Carry each other

One

One

Jeśli istnieje ekstaza, to była to właśnie ona, uznał po koncercie Marko. Pamiętał wszystko, każdą piosenkę z osobna. Ale w przypadku *One*, pamiętał tylko to, że był szczęśliwy, słuchając jej, naprawdę szczęśliwy, najbardziej szczęśliwy w życiu, i miał absolutną pewność, że Bono nie zagra *Wake Up Dead Man*, że koncert musi się skończyć *One*. Oprzytomniał nagle, usłyszawszy kilka fraz *Unchained Melody*, kiedy Bono rzeczywiście się pożegnał, kiedy wszyscy zeszli ze sceny, kiedy jeszcze przez kilka chwil na ekranie biło ogromne serce.

W końcu ekran zgasł, zapaliły się reflektory stadionu i tłum techników wyszedł na scenę, by pozbierać kable oraz mikrofony. Nie będzie bisów, niczego, wszystko jest skończone.

Publiczność z krańców murawy powoli zmierzała do wyjścia. Obciążenie płyty stadionu z każdą chwilą było coraz mniejsze, ale ludzie niespecjalnie się śpieszyli. Grupki młodzieży wymieniały wrażenia, i właśnie te chwile tuż po koncercie stawały się okazją do spotkań bliskich znajomych i przyjaciół, którzy w ogólnym zgiełku wcześniej nawet się nie dostrzegli. W miarę jak publiczność się rozchodziła, coraz wyraźniej było widać, w jaki śmietnik zamieniło się Koševo. Wokół walały się wszelkiego rodzaju zgniecione papiery – serwetki, opakowania, kartonowe kubki, do których lano piwo, pudełka po herbatnikach, zapałkach i papierosach, chusteczki higieniczne Lotos, a także plastikowe przezroczyste butelki, białe kubki, w których serwuje się śmietanę i jogurt, puste blistry po lekach, zgubione zapalniczki; plastikowe torby i pęknięte balony; niedopałki, korki i zapałki; chustki, czapki i wstążki do włosów; arkusze folii aluminiowej, guziki, skórki od bananów, karty telefoniczne, spinki, kawałki materiałów, bilety na koncert.

Sejo nie chciał wychodzić. Napawał się katastrofalnym wyglądem stadionu psów. A niech im! Z każdą grudą

wyrwanej ziemi, każdym większym stratowanym kawałkiem murawy jego serce rosło. Nie najgorzej to wyszło. Choć mogło być jeszcze lepiej. Wolałby pewnie, żeby ziemia zapadła się jak podczas trzęsienia ziemi, jak w *Chińskim syndromie*, żeby wszystkie krzeselka na trybunach zostały połamane, żeby stadion spłonął. Tyle zapalniczek, tyle ognia i nic! Bóg też jest po stronie psów. A taką dziką nadzieję poczuł w pewnej chwili! Tuż przed koncertem nawet nie myślał o pożarze, jednak gdy zobaczył wszystkie te zapalniczki, przemknęła mu przed oczami wizja godna Nerona. Ale nic z tego, znów jak w czasie wojny Grbavica ucierpiała, a Koševu nic się nie stało. Wtedy nic i teraz nic. A cały ten śmietnik momentalnie wydał mu się oznaką próżnego wysiłku, czysto symbolicznym zaspokojeniem, niczym honorowy gol w dziewięćdziesiątej minucie, kiedy przeciwnik prowadzi już sześć do zera.

Mirso i Roba znaleźli się wśród pierwszych opuszczających stadion. Już przed bisami ruszyli w stronę wyjścia i do końca koncertu stali na skraju murawy. Tak naprawdę czekali na ostatnie sekundy po to tylko, by móc powiedzieć, że wytrwali do końca. Milczeli, opuszczając stadion, milczeli, póki nie wyszli na ulicę. Mirso odezwał się pierwszy.

– No i po koncercie. Nic szczególnego.

– Bez sensu. Nie wiem, po cośmy w ogóle przyszli.

– Dobrze wiesz. Bo to U2, bo cały ten hałas, gdybyśmy się nie wybrali, ty pierwszy byś powiedział: Ale z nas idioci...

– I tu masz rację. A koncert był do dupy bez względu na tego napalonego byczka.

– Nawet o nim nie mów. Boli cię jeszcze? Dzięki, że się włączyłeś. Wziął mnie na celownik.

– Nie ściemniaj. Ty też dałbyś mu popalić, gdyby o mnie chodziło. A co do bólu, wyznam szczerze – nic nie czuję, ale kumam, że potrzebna jest mała dezynfekcja.

– Ewakuujemy się teraz do „Jazzu”, żebyś poddać cię dezynfekcji, ja zresztą też mógłbym przepłukać usta.

– O to mi chodziło, baranie!

– Idziemy! A w kwestii koncertów, następnym razem robimy wypad na Atomsko Sklonište.

– Jasne, stary, albo na Partybreakersów.

– Warto by kupić w kiosku po piwie, żeby nas rozgrzało na drogę.

– Okej!

Mirso zatrzymał się przy kiosku i kupił dwie puszki piwa. Podał jedną Robie, otworzyli, po czym puścili się w dół. Pili piwo, zmierzając do „Jazzu”.

Ema, Adela, Selena, Ervin, Goran, Zaim i Saša przepychali się szybko w stronę wyjścia. Kierowca autobusu, którym przyjechali z Konjica, zapowiedział odjazd zaraz po koncercie. Przerazały ich sarajewskie ciemności. Strach ma wielkie oczy, dlatego zapomnieli, że jest ich siedmioro, że ich zniknięcie nie może przemknąć niezauważone, a więc bez nich nikt nie ruszy. Komentowali koncert z zachwytem, pewni, że o swych wrażeniach będą mówić jeszcze przez wiele miesięcy, a może i lat. Jednak w opowieść o koncercie już wdzierały się codzienne akordy. Czy mają jutro iść do szkoły, zastanawiali się, chodzą na pierwszą zmianę, będą zmęczeni, a i tak pewnie nikt się nie zjawi. Zaim, szemrany lizus, uważał, że muszą iść do szkoły, że nie mogą opuścić dwóch dni z powodu zwykłego koncertu, to i tak dziwne, że dali im jeden wolny. Reszta oświadczyła, że za żadne skarby świata nie pójdzie do szkoły, a potem zagroziła

Zaimowi, że jeśli on pójdzie, będzie ostatnią szmatą. Następnie Adela i Selena spytały szeptem Emę, kim był ten facet, który wziął ją na ramiona, a ona odparła, że to jakiś starszy koleś, że go nie zna, nawet się nie poznali, dodała jeszcze, że sam jej zaproponował, że ją podniesie, ale przyjaciółki nie uwierzyły. Kręcisz, powiedziała Adela, po prostu przyznaj, że go poprosiłaś, żaden wstyd. Selena dodała jeszcze: No właśnie, Ema, czemu na okrągło rzniesz głupa? Ema starała się je przekonać, że facet sam złożył propozycję, ale na próżno.

Już przy wyjściu, w największym ścisku, Sejo wypatrzył czwórkę gówniarzy, którzy rozmawiali z jakimiś dziewczynami. Wszyscy czterej ubrani byli w dresy. Tyle że trzech z nich miało na sobie drogie koszulki zagranicznych klubów (Real, Manchester, Barcelona), a jeden – niebieską, z dziewiątką Żeljezniceara na plecach. Sejo poklepał go po ramieniu, mówiąc: Jesteś swój chłop, najlepszy! I natychmiast przepchnął się przez tłum, opuszczając wreszcie stadion. Wielkimi krokami ruszył ulicą.

Saša był zaskoczony, a jednocześnie dumny. Świadom, że koledzy patrzą na niego z zazdrością, zwrócił się do Emy, Adeli i Seleny, mówiąc: Słyszałyście, co ten frajer powiedział, kto jest najlepszy?

Ambasadorowi wydawało się, że jeszcze chwila, a Bono się rozpłacze. Po koncercie padli sobie w ramiona. Bono powtarzał: *It was great, they are great!* Widać było, że jest bardzo wyczerpany. Żałował, że głos go zawiódł, ale jednocześnie cieszył się, że być może to właśnie dało więcej przestrzeni publiczności. *It was a show of fifty thousand people, of fifty thousand Bosnians, it wasn't just U2 show* – powiedział. – *I sang for them, they sang for me.*

Czekało ich oczywiście backstage party. Wśród wielu obecnych rodzime trunki popijali także młodzi członkowie supportów, miejscowi organizatorzy, liczna międzynarodowa U2 crew, która towarzyszy im w całej trasie, zagraniczni dziennikarze i co poniektórzy szczęściarze z lokalnej prasy, irlandzki minister obrony, menedżer U2 Brian Eno, członkowie U2 i Ambassador.

Brytyjski dziennikarz przechadzał się dookoła z dyktafonem w jednej i kieliszkiem w drugiej ręce. Rozmawiał niemal ze wszystkimi, od miejscowych nawijaczy aż po menedżerów U2. Dobrze wiedział, że to doskonały temat na duży, świetny artykuł. Często pisał o Bośni, zwykle smutne

i tragiczne historie, które zrobiły się już nudne. Teraz ma coś innego: dobrą nowinę i wspaniałą opowieść. Tyle że i tak przebijać z niej będzie bośniacka tragedia. U2 nigdy by nie przyjechali do Bośni, wiedział to z całą pewnością, gdyby nie wojna.

Główne gwiazdy backstage party nie zostały długo. Brian Eno ruszył w samotną trasę po najbliższych miejscowych knajpach. Ciekawiło go, gdzie podziała się cała ta młoda zgraja, jak oni spędzają noc. Ten koncert to przecież tylko incydent, a incydenty nie przynoszą zbyt wiele profitów wspólnocie. Co robią teraz ci młodzi ludzie, zastanawiał się.

Ambasador zaproponował Bono, Edge'owi, Adamowi i Larry'emu, by przeszli się po mieście razem z nim. Edge i Larry zgodzili się, Adam i Bono – nie.

Chwilę po tym, jak tamci trzej się oddalili, Bono oznajmił Adamowi, że idzie spać. Adam, zdumiony, spytał go, czemu tak wcześnie. Bono wskazał brodą na podpitych dostojników i sparafrazował samego siebie: The light life never looked so low.

Młodzi z Dubrownika ustalili z kierowcą, że ruszą z powrotem godzinę po północy. Chcieli się trochę przejść, czegoś napić, ewentualnie zjeść kolację. Kierowca powiedział, żeby wszyscy byli na miejscu o pierwszej, bo on rusza o pierwszej, najpóźniej pierwszej piętnaście, i na nikogo nie będzie czekać.

Amra i Ksenia postanowiły pójść na spacer. Nigdy wcześniej nie widziały Sarajewa. W tej chwili nie były ani głodne, ani spragnione. Kupią sobie na drogę po dwa soki w czteropakach i kanapkę w jakimś fast foodzie, wystarczy.

Ksenia chciała pójść w dół, na ulicę Tita, aż do samego centrum miasta, ale Amra się sprzeciwiła. W tej przyjaźni Amra była tą, która decyduje. Spacerowały więc po części Sarajewa między stadionem Koševo a ulicą Tita: vis-à-vis dzielnicy Ciglane, obok Wydziału Medycyny i Drugiego Gimnazjum, przeszły przez Čekalušę, Đidikovac, Mejtaš, Višnjik i Bjelavy. To najpiękniejsza część Sarajewa: absolutnie miejska, ale pozbawiona szpanerskiego zgiełku, swojska i tajemnicza. Tu spotykają się podwórza i bramy, strzeliste

ślepe uliczki i pokryte reliefami fasady, małe ustronne knajpki i zapuszczone schody.

Wokół było dużo więcej ludzi niż zwykle, ale Amra i Ksenia nie mogły przecież wiedzieć, jak jest tu zwykle. Myślały pewnie, że tymi ulicami każdej nocy przewala się legion młodości, zaglądający do piekarń, by kupić gorące precle i trochę oszukać żołądek przed kolejnym piwem, że mur cmentarza każdej nocy upstrzony jest dziewczynami i chłopakami siedzącymi niby wrony. Rozmawiały od niechcienia, co pewien czas jakieś pytanie, jakiś okazjonalny komentarz. Wiedziały, że będą mieć dość czasu, by pogadać o koncercie, wiedziały, że jeśli ktoś z klasy wspomni Wiedeń, Budapeszt lub Pragę, one krzykną zgodnym chórem: Koncert był super!

Ale dla Kseni koncert nie był niczym wyjątkowym. Koncert jak koncert! Tyle że nie spodziewała się niczego więcej. Dobrze spędziła czas, zresztą dla niej każdy spęd to dobra okazja. A Amra? Dla niej przeciwnie, koncert był wielką sprawą, naprawdę wielką. Chciała zatańczyć z Bono. Ale choć na scenę wyszła inna dziewczyna, Amra nie czuła się pokrzywdzona. Ona też tańczyła z Bono, tańczyła na murawie z całą resztą, i to też był taniec z Bono. Chwilowe rozczarowanie opadło niczym osad w winie, a radość z przeżytego koncertu wyrażała się w milczeniu. Patrzyła na Ksenię, życzliwie się uśmiechając. Lubiła tę dziewczynę, która niczym zbity pies nie odstępowała jej na krok, a przecież Amra nigdy nie będzie mogła jej wyznać, ile ten koncert dla niej znaczył.

I tak oto dwie młode dubrowniczanki spacerowały sobie po Sarajewie, a w klepsydrze przesypywały się ostatnie ziarna pierwszego dnia jesieni, ekwinokcjum. W nagłym porywie wiatru minęły się z Markiem.

Marko zmierzał do domu i myślał o Cioranie: Ostatnie liście spadają z szelestem. Trzeba dużej dozy niewrażliwości, by zmierzyć się z jesienią. Otóż to, zbliżała się ta gorsza część roku. Zawsze odnajdywał coś z siebie w krótkim fragmencie książki swojego ziomka napisanej w duchu jak najbardziej cioranowskim: „Gdzieś tak pod koniec miesiąca kwietnia niewidoczna ręka podarowała mi około stu siedemdziesięciu wspaniałych, prawdziwych dukatów, wybitych z nieścieralnego złota. Mija wiosna, potem lato, a potem jeszcze początek jesieni, ja zaś każdego dnia rozstaję się z jedną ze swoich monet. I oto w pierwszych dniach miesiąca października, znów tak samo ubogi i z pustymi rękami, stoję twarzą w twarz z mgłą i deszczem, okutany, zziębnięty, przysuwam dłonie do płomienia, jakby to było stopione złoto. Czekam na wiosnę i jej szczodrość”. Lubił Andriciowską mitologię słońca oraz wiosny obecną i rozpoznawalną od *Ex ponto* po *Znaki przy drodze*. Wiedział, że nadchodzi czas mrocznego chłodu. O tej porze roku licealiści piszą prace o jesieni. W swoim czasie Marko przeciwstawił się stereotypowym hymnom pochwalnym na cześć kolorowych liści i odlatujących jaskółek. Jego wypracowanie o psach, które ryją po kubłach wypełnionych śmieciami, o kałużach w popękany asfalcie, o monotonnej szarości horyzontu, zasłużyło na słabą ocenę, chociaż było nienagannie napisane. Przyswoił sobie wtedy lekcję: istnieją prawdy chciane i niechciane.

Tak, nadchodzi październik. Przypomnił sobie jeden ze starych dowcipów, którym chciał przekonać kolegów do sugestywnej mocy, jaką ma w sobie muzyka U2. Puści, tak wtedy powiedział, piosenkę *October* matce kolegi, która nie zna angielskiego, i spyta, jakie skojarzenia wywołuje

utwór. Kobieta rzeczywiście uważnie wsłuchiwała się w początkowe długie solo na pianinie, a później w pierwsze dwa, trzy wersy, i powiedziała: deszcz, jesień, październik. Marko był dumny, opowiadał, jak to Edge, waląc w klawisze swojego pianina, świetnie wyczarował deszcz, a przecież doskonale wiedział, że i tym razem język przesądził o wszystkim. Bo w tych kilku wersach Bono dwa razy – czytelnie, wolno i zrozumiale – powiedział: „October”. Kobieta podświadomie przyswoiła sobie tę sugestię, a jego koledzy nie widzieli w tym nic dziwnego. Wielokrotnie dostrzegał u ludzi niewytłumaczalną głuchotę na język. Nie byli w stanie przetłumaczyć słowa „bachelor”, bo nie widzieli podobieństwa do słowa „bećcar” (stary kawaler), nie rozumieli, że nawet jeśli nie zna się angielskiego, „ura” to jest to samo co „hour”, a „baker” to, oczywiście, „pekar” (piekarz). Nadchodzi październik, początek wykładów, nowi, nieznani profesorowie. Potworność, ale on musi żyć. „October, and kingdoms rise and kingdoms fall, but you go on and on”.

Azra myślała o Orfeuszu. Był muzykiem i utrzymywał więź z nieżyjącymi. Bo też muzyka przybliżyła nam zmarłych. Wiedział o tym rodak Bono, ów Dublińczyk, który w piosence *Dziewczyna z Aughtim*¹ złączył ponownie Gretę i Michaela. Irlandzka muzyka, muzyka U2, ponownie zbliżyła Azrę do nieżyjącego brata. Kilka lat później, kiedy Salman Rushdie napisze powieść *The Ground Beneath Her Feet*, a Bono skomponuje piosenkę pod tym

¹ *The Lass of Aughtim* – stara irlandzka pieśń wspomniana przez Jamesa Joyce’a w opowiadaniu *Zmarli* z tomu *Dublińczycy*. Greta i Michael to jego bohaterowie.

samym tytułem, Azra przypomni sobie spacer zaraz po koncercie. Ta książka i ta piosenka poprzez muzykę także łączą żywych oraz martwych. A Azra zawsze będzie myśleć, więcej nawet, będzie lubić myśleć, że Bono wpadł na pomysł muzyki do *The Ground Beneath Her Feet* w trakcie tamtego koncertu.

Zaraz po koncercie Merima i Tin poszli do mieszkania Diki. Czuli się wspaniale podczas koncertu, będzie im wspaniale także tej nocy, ale na ich twarzach malował się jednak cichy smutek. Typowo niedzielny nastrój: jeszcze weekend, ale nazajutrz trzeba już iść do pracy; to samo czują uczniowie pod koniec sierpnia, kiedy na beztrioskie nieróbstwo kładzie się groźnym cieniem początek roku szkolnego, który zbliża się nieubłaganie.

Wiedzą, że jutro wrócą w normalny tok życia, ale o tym nie rozmawiają. Przed nimi noc, noc, która tym koncertem ledwo się zaczęła, i to ona poprzedza jutrzejszy powrót do rzeczywistości. Kolejny dzień zabierze ich w tę niemal poniżającą realność bośniackiej młodości, w otchłań anachronicznego moralizmu i czysto ekonomicznej niemocy, by stawić mu czoło. Dlatego mijając ambasady, podświadomie zwalniają kroku. Wiele razy rozmawiali o wyjeździe, jednak nie uczynili nic, co pozwoliłoby wcielić plany w życie, nigdy nie zrobili nawet pierwszego kroku. Teraz wiedzą przynajmniej, gdzie są ambasady. To już coś.

Spacerują wtuleni w siebie i poważni. Dopiero ten krótki czas wolności uświadomił im, że w gruncie rzeczy żyją zamknięci w obozie. Bo przeciwieństwa zawsze się oświetlają, i dzień w tym samym momencie odkrywa i siebie, i noc, jak to pięknie powiedział Spinoza.

Damir i jego ekipa z Zenicy musieli się pożegnać ze Svetlaną zaraz po koncercie. Umowa belgradczyków była jasna: po finale prosto do autobusu. Dlatego Damir natychmiast odprowadzi Svetlanę na dworzec, a potem spotka się z zresztą w „Cinemi”. Pojadą do Zenicy pierwszym rannym autobusem, Damir zresztą też powinien wrócić do koszar w Hadżiciach.

Ruszyli tą samą drogą, którą przyszli przed mniej więcej ośmioma godzinami. Bo też tyle się znali: osiem godzin, jednodniowy interwał w czasie pracy – senne przyjscie punkt siódma, przerwa na śniadanie o dziesiątej, męczeńskie trwanie do wczesnego popołudnia, wyjście o trzeciej. A przecież te ich osiem godzin miało więcej wdzięku. Po raz pierwszy byli teraz sami: chłopak w mundurze moro z jakąś zmutowaną oznaką i dziewczyna, której sposób mówienia dziwnie pachniał sarajewskim powietrzem. Rozmawiają o koncercie, ogólnikowo o muzyce, książkach i filmach, a zwłaszcza o *Przed wschodem słońca*.

Wymienili numery telefonów i adresy. Damir powiedział: No proszę, dopadła nas klasyczna sytuacja, poznaaliśmy się nad morzem, teraz przyszedł czas rozstania, ale przecież będziemy pisać, ja będę pisać, ty też będziesz, a potem nic. Svetlana znów się roześmiała.

Stoją przy autobusie. Wszyscy już weszli. Czekają tylko na nią. Patrzy na niego pytająco, on odgarnia jej kosmyk z oczu i mówi, siląc się na ekawski: Szczęśliwej drogi! Bądź

czujna, ten autobus przypomina trochę zdezelowany okaz z filmu *Kto tam śpiewa*¹. Uścisnęła mu rękę: No proszę, potrafisz mówić po naszymu.

Idąc do „Cinemi”, Damir wciąż kopał kamyki, które natoczyły mu się po drodze. Przypomniał sobie scenę z filmu Kenovicia *Ovo malo duše*, kiedy Senada mówi Nihadowi, że zanim wyjechała, szukała go, bo miała mu coś ważnego do powiedzenia. A wtedy on pyta, czemu chce go przekonać do prawdy, że Słońce jest większe od Ziemi. Potem śmieje się i śpiewa: I proszę cię, nie wychylaj się przez okno.

Spośród pisarzy Svetlana najbardziej lubiła Fiodora Dostojewskiego. Odpowiadało jej to, co Balašević² (którego Dostojewski bije na głowę) w piosenkach, nazywał słowiańską duszą. Jest takie zdanie w *Skrzywdzonych i poniżonych*, które Svetlana podkreśliła czerwonym długopisem: „W chwili pożegnania, odprowadziłem ją na bok, żeby jej powiedzieć coś niezmiernie ważnego; ale jakoś nagle zaniemówiłem, język stanął mi kołkiem”³. Svetlana miała taki zwyczaj: w czytanych książkach podkreślała zdania, które się jej podobały.

Asja i jej ekipa na długo przed koncertem zaplanowali balangę. Krótko mówiąc, któreś z nich miało urodziny, tak więc koncert był jedynie uwerturą do całonocnego pijaństwa. Teraz oczywiście Ivan też był zaproszony.

Po kilku piwach Asja wzięła go za rękę, zaciągnęła do jakiegoś pokoju i zamknęła drzwi. To był dziecięcy pokój pełen pluszowych zabawek i plakatów nastoletnich idoli,

1 *Ko to tamo peva*, film Slobodana Šijana z 1980 roku.

2 Đorđe Balašević (ur. 1953, Nowy Sad, Serbia) – szansonista, autor i wykonawca ballad lubianych w całej byłej Jugosławii.

3 Przekład Władysława Broniewskiego.

który należał do młodszego brata bądź siostry pijanego solenizanta świętującego właśnie dwudzieste urodziny. Na łóżku przykrytym kocem z postaciami Disneya – jak później opisała to Asja – wykonali szybki numerek. Na pomarańczowym dziobie Kaczora Donalda został ślad spermy. Byłeś świetny, idę się pierwsza wykąpać – powiedziała Asja. Ivan został sam. Leżał w łóżku nieznanego dziecka (nie wiedział nawet, czy to łóżko chłopczyka, czy dziewczynki) i bezskutecznie próbował zapalić papierosa. Pieprzone puste zippo! Zdążył jednak spróbować tylko dwa razy, kiedy otworzyły się drzwi. Weszła nowa para. Spadaj, stary, możesz sobie teraz zakurzyć gdzie indziej – oznajmił młody człowiek (prawie chłopiec) i zapalił mu papierosa własnym zippo.

Kilka dni później Ivan napisał wiersz, a tak naprawdę sonet. (Pisał wiersze od lat, ale nigdy nikomu żadnego nie pokazał).

Dobry efekt spraw wszelkich godzien jest zazdrości,
Choć modus operandi cenić też się godzi.
Działać przeto na prędcę nijak nie uchodzi,
Z ładem natury, zważcie, staje to w sprzeczności.
Po długim wędrowaniu milej zjechać w gości,
Im dłużej jest na ogniu, jadło lepiej wchodzi,
Pokora czystsza bywa, im więcej się korzy,
Taką staje się miłość w czasach nieczułości.
Lecz miłość trubadurów, rycerską, odświętną
I jakże nowoczesną, tirowską, powszednią
Próbować dzisiaj łączyć, a nawet zrównywać,
Tym samym jest wszelako, jakby porównywać
Krzeseł ogień, dawne wróżbitów bajania
Z głuchym odgłosem zippo w chwili zapalania.

Towarzystwo z Zenicy nie zabawiło dłużej w „Cinemi”. Poczekali tylko na Damira. Noc była ciepła, a knajpa droga. Zgarnęli karton piwa, usiedli na schodach katedry i pili.

Mniej więcej o drugiej trzydzieści obok katedry przeszli Edge, Larry i Ambasador. Damir spytał: Uchlaliśmy się na full czy co?

Edge i Larry wszystkim uścisnęli ręce i z każdym porozmawiali. Złożyli autografy na biletach. Ambasador obserwował wszystko, stojąc z boku. Damir podszedł z kartką i poprosił go o autograf, który tamten ofiarował pełen wdzięczności. Damir wyjaśnił to później swojej ekipie, zaśmiewającej się w pijanym widzie: W koszarach jego podpis więcej jest wart niż Edge na żywo.

Kiedy o świcie dotarli na dworzec, na jednej z ławek zobaczyli pogrążonego we śnie Muja. Damir stwierdził wtedy: Proszę, oto stary przyjaciel, przywitał was i pożegnał tak samo jak ja. Mladen i Ado toczyli ożywioną dyskusję, czy kiedy dotrą do Zenicy, knajpy będą już otwarte. Damir myślał o koszarowym więzieniu. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy wsiądzie wreszcie do autobusu, by choć trochę pospać.

Merimę i Tina wczesnym rankiem obudził telefon. Dzwonili rodzice Merimy. Mama powiedziała, że ma autobus o dziesiątej i obowiązkowo musi się nim zabrać. Rodzice wyjeżdżają po południu do Zagrzebia, więc ktoś musi zostać z ciotką, która nie czuje się najlepiej.

Zjedli więc śniadanie, wypili kawę i ruszyli w drogę. Przy wyjeździe z Vogošty zatrzymała ich policja za przekroczenie prędkości. Nie wypisali im mandatu, bo Tin podał im banknot, mówiąc: Idźcie na kawę.

Zrzuciwszy plecak, Marko wyszedł koło dziesiątej. Pójdzie na Bašćaršię na cievapczici, a potem na dworzec autobusowy. O wpół do dwunastej do Travnika odjeżdża autobus, w którym bilet w jedną stronę kosztuje tylko trzy i pół marki.

W ogródku jednej z knajp Marko dostrzegł Briana Eno, który jadł cievapczici i popijał piwo. Ludzie przechodzili obok, najwyraźniej go nie zauważając. Nie rozpoznawali go. Marko podszedł, przeprosił, że przeszkadza mu w jedzeniu, powiedział kilka słów o sobie, wyznał, że ceni jego pracę. Na jednej z serwetek Eno napisał mu wtedy: „To Marko from Travnik. All the best for my Bosnian fan, Brian Eno”.

Kiedy Marko płacił konduktorowi za bilet, z płyty lotniska wystartował samolot U2. Wzbił się niczym krzyż i zniknął w chłodnych niebieskich przestworzach.

Travnik, czerwiec 2001